

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 28 CZERWCA 1930 ROKU

NR. 26

TREŚĆ NUMERU: O psychikę dzisiejszych kobiet — *H. Spoczyńska*. W ważnej sprawie — *P. Restorffowa*. Poezje: „Straszny żal Świętego Piotra” — *Kazimiera Illakowiczówna*. Dlaczego pani Niuska nie napisała nowelki? (dok.) — *Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Hroswita — *Ida Kotowa*. Dom studentek we Lwowie — *Zofja Grodecka*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Z życia muzycznego — *P. L.* Książki nadesłane do Redakcji. Z książek — *N. J.* Kobieta w świecie i w domu. Hodowla jedwabników czy kopalnia złota — *S. P. O.* Niewykorzystane zawody — *W. N.* Wyrabiamy własne wina owocowe — *mar.-mor.* Cebula — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: O zmianach mody i o tem, jak na to poradzić — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

O PSYCHIKĘ DZISIEJSZYCH KOBIET

Artykuł p. Herminji Naglerowej p. t. „Inteligentki proletarjat kobiet”, przyśpieszył wypowiedzenie moich myśli o psychice kobiety dzisiejszej w Polsce — kobiety, mającej tak wiele uprawnień, a tak mało umiejacej z nich korzystać, dzięki różnym, częścią wrodzonym, częścią nabytym, niedomaganiom swej psychiki.

Pani Naglerowa oświetliła skutki, ja sięgnę do przyczyn takiego stanu rzeczy, do typologii kobiecej.

Za podstawę biorę ustosunkowanie się kobiet do innych ludzi i warunków życia. Wprowadzić tu można podział na typy twórcze i zdobywcze lub bierne i zwyciężane.

Najwyżej stawiam typ pierwszy, t. zn. twórczy, łączący dar inicjatywy ze zdolnością urzeczywistnienia jej. Przyjrzyjmy się, jak wygląda polska rzeczywistość kobieca w zastosowaniu do tego podziału.

Zacznę od „szczytów” umysłowości i kultury, od kobiet z wyższem wykształceniem, mniejsza, czy w domu, czy na uniwersytecie zdobytem. Prawie u wszystkich, jeśli nie stale, to okresowo, widzimy paraliżujące wszelkie działania, *niedocenia*nie siebie (wbrew wrodzonej każdej z nas i ludziom wogóle ambicji), t. zw. poczucie „małowartościowości”, niewiarę w wartość swej pracy, czego wynikiem jest lekceważenie przez dane osobniki odruchów swego serca, woli i rozumu; usuwanie się na ostatni plan, nawet wobec mniej zdolnych kolegów. W ten sposób same kobiety urabiają ujemną dla siebie opinię.

„To stanowisko (dyrektora dziecięcego szpitala) tylko dla mężczyzny, bo niema zwyczaju, aby powie-

rzano je kobiecie”, chociaż wśród kandydatów lekarza-kobieta góruje wiedzą, praktyką i zdolnościami.

Kobiety pozwalają umieszczać się na szarym końcu list wyborczych, lub zgadzają się zostać posłankami, dyrektorkami i t. d., o ile *nikt* nie wypowie żadnej krytyki o ich kandydaturze, lub o ile *nikt inny* nie zgłosi się na dane stanowisko. Rezygnują z zagranicznych stypendjów „dla godniejszych”, a w rezultacie dla bardziej zdobywczych jednostek (mniejsza o to, czy zdolniejszych), lub obawiają się, np. w biurze, odpowiedzialności kierowniczej.

Wszystkie czekają na to, żeby uznanie, wyróżnienie, stanowisko odnalazło je samo: czekają na uznanie i tkwią uporeczywie na szarym końcu, a tymczasem wybija się ten, kto pracuje i *umie wyjść naprzeciw uznaniu*, umie zmusić los do służenia sobie, a ludzi do szacunku dla zdolności i pracy.

Najbardziej szkodliwą odmianą wśród „pomniejszających się” kobiet są osobniki bojaźliwe, nieśmiałe i przesubtelnione w stosunku do ludzi. Znam jedną b. zdolną historyczkę, której pracę drukuje obecnie uniwersytet. Pani ta uciekła z rautu na zjeździe naukowym, omijając wybitnych profesorów, którzy chcieli z nią porozmawiać; uczyniła to dlatego, „żeby się nie narzucać”, „nikogo sobą nie krępować”. Zmuszona do pozostania w tem towarzystwie, milczała, robiąc wrażenie ujemne na tych, którzy spodziewali się jej udziału w rozmowie i wypowiedzenia się o różnych sprawach.

Takie „pomniejszające się” typy znalazłam wśród koleżanek, wśród studentek uniwersytetu, wśród

uczennic w szkole. Nie jest to objawem pokory, lecz niedomogą psychiczną, którą należy zwalczyć, jeśli chcemy być prawdziwie wyzwolone.

Nie więc dziwnego, że tylko niektóre kobiety wybijają się i o ile znajdują opiekuńcze słońce, w którego promieniach mogą rozkwitnąć ich uzdolnienia i talenty; inaczej marnieją i giną bezowocnie.

Szczególnie przykro dotknęły mnie te niedomogi bezpośrednio na kursie wychowawców w Warszawie i na zjeździe dyrektorów w Katowicach. I tu i tam należało się spodziewać, że na zebraniu ludzi tych samych zawodów, wykształcenia, uzdolnień, wobec najlepszych prawie wykładów *prelegentek* kursu, kobiety wezmą poważny udział w dyskusjach. Tymczasem, cóż się stało? W Katowicach zabierały głos dwie młode dyrektorki, reszta pań milczała; na kursie z początku mówiła jedna, potem 3 — 4 — 5 — i cisza, a panowie gadali, gadali, gadali... Nie chodzi mi o pochwałę gadulstwa, tylko o podkreślenie naszej nieśmiałości w słowie, chociaż w myśli dorównujemy mężczyznom, a wielu z nich przewyższamy.

Moja przyjaciółka twierdzi, że kobiety milczą przedewszystkiem z nieśmiałości i ambicji, że wszystko, co czynią, o czym mówią, musi być doskonałe; mnie się zdaje, że oprócz tego milczą, aby się nie ośmieszyć i nie upokorzyć, milczą niekiedy z braku przyzwyczajenia do rzeczowych dyskusyj (czas wielki tego się nauczyć!). Milczą, bo nie wierzą sobie, swoim zdolnościom, bo przeceniają umysłowość męską, nie doceniając swojej. Znowu zjazdu i zebrania naukowe są tego przykładem: w Pradze Czeskiej, na zjeździe filologów, nie było referatów kobiecych, bo zdolne językoznawczynie przeraziły się naukowości zjazdu. Dopiero, gdy wysłuchały niektórych referatów męskich, ze zdziwieniem spostrzegły, że one opracowałyby to zagadnienie daleko lepiej. Tak jest dotąd najczęściej.

Jest także inaczej, ale czy bezwzględnie dobrze, proszę ocenić: znam dobre nauczycielki, które umieją tak zasugerować władze swoją pracą, narzucić pojęcie swej wartości, że niesłusznie zyskują opinię *bardzo* dobrych. Byłam świadkiem egzaminu uniwersyteckiego, gdzie jedna zdolna koleżanka w dyskusji z profesorem przekonała go, że świetnie zna przedmiot, chociaż miała zaledwie elementarne pojęcie o nim i która przy końcowych egzaminach nietylko dzięki przygotowaniu, ale i pewności siebie uzyskała same celujące. Byłam także świadkiem, jak druga

koleżanka, wybitnie zdolna, ale nieśmiała, przy doskonałym przygotowaniu, zdała tylko dostatecznie.

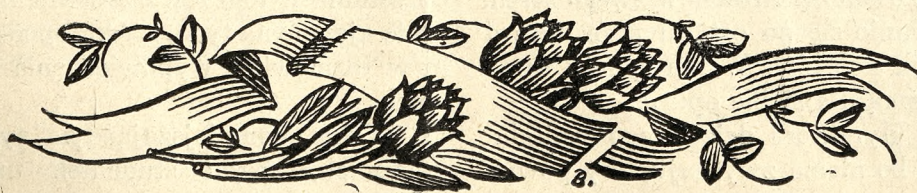
To są przykłady egzaminu. Ktoś powie, że to nie życie, zgadzam się i uzupełnię, że w życiu celująca jest nadal średnią, a dostateczna wybijając się zaczyna naukowo. Ale ja w przykładach tych widzę ważny przyczynek do poparcia twierdzenia, że najważniejszym i najpilniejszym zadaniem jest zdobycie poczucia pełnowartościowości, które pozwoli nam zawsze zająć tylko to miejsce, które nam się istotnie należy: uchroni zarówno od wygórowanych ambicji, gadulstwa, zarozumiałości, jak i od roli Kopciuszka, wobec matki, nie macochy nawet.

Stanisław Szczepanowski w swojej pracy: „Myśli o odrodzeniu narodowym“, twierdzi, że żaden naród bez poczucia swej misji, posłannictwa, wartości osobistej—dokonać niczego wielkiego nie potrafi. Pogląd ten, tembardziej jest aktualny, że np. obecne Włochy, Anglja, Czechy mają misję, w którą wierzą i dla której pracują. Tymczasem, mimo najpiękniejszej literatury mesjanistycznej, w Polsce poczucia własnego posłannictwa niema, bo niema poczucia pełnowartościowości. W poezji jest wielkość, szczyty — w życiu pomniejszanie siebie, czapkowanie wszystkim, usuwanie się każdemu z drogi.

Jeszcze gorzej przedstawia się to u kobiet, całkiem już bez celu, bez misji, bez odwagi do walki w obronie praw, bez najmniejszej chęci korzystania z nich. Znamy jeden tylko mesjaniczny pierwiastek: poświęcenie się ciche, ofiarę, broń Boże, wymaganie jakiejś rekompensaty, bo to byłoby pohańbieniem świętości. Albo też odwrotnie: rozpychanie się łokciami w sposób godziwy lub niegodziwy (to rzadsze zjawisko).

Wobec tego, co czynić? Czy czasem nie należy zmienić radykalnie wychowania młodych dziewcząt, przez rozwijanie w nich poczucia pełnowartościowości? czy w wychowaniu przedewszystkiem nie należy wprowadzić nowych prądów „szkoły pracy“, systemów laboratoryjnych, „metody projektów“, pomagających do wychowania typów twórczych, zdobywczych, właściwie krytycznych w stosunku do siebie? Czy nadal „cicha zasługa“, „ofiara“, „męczeństwo“, Kopciuszek, lub „oko do szefa“? Musimy wypowiedzieć się o życiu, które jest i będzie; o roli kobiety nowej. Jeśli jednak chcemy wyzwolenia, to jedynie przebudowa starej psychiki pozwoli nam stworzyć nową kobietę, dzielniejszą, produktywniejszą, uzgodnioną z nowym życiem.

H. Spoczyńska



P. RESTORFFOWA

W WAŻNEJ SPRAWIE

Przyrost ludności rocznie wynosi w Polsce około 400.000 — 16 na każdy tysiąc. Liczba jednak urodzin dochodzi do 800.000 rocznie.

A teraz spójrzmy, jak my się obchodzimy z tym naszym dorobkiem, jak my lekkomyślnie, wprost karygodnie, marnujemy te nasze skarby w pierwszej chwili ich przyjscia na świat.

Według danych statystycznych na obszarze Polski pracuje 7000 położnych. Po potrąceniu odpowiedniej ich liczby na miasta, dla wsi pozostaje 4500. Każda z nich może obsłużyć rocznie 60 kobiet, co w sumie czyni 270.000 kobiet rodzących. A reszta? a pozostałe $\frac{2}{3}$ kobiet? Są pozbawione pomocy fachowej, albo otrzymują ją w stopniu niedostatecznym.

Zobaczymy, jak się do tego faktu ustosunkowały nasze władze. Oto wyszły, prawie jednocześnie, dwa rozporządzenia ministerjalne: pierwsze, zabraniające pod ciężką karą praktykowania tak nazwanym „babkom“; drugie, przedłużające czas nauki w szkołach położniczych z jednego roku na dwa. Czy może być coś bardziej lekkomyślnego, powiedzmy wprost, bezmyślnego? Jakto, więc według poglądów departamentu służby zdrowia, kobiety rodzące przez te dwa lata mają pozostać zupełnie bez pomocy, umierać gromadnie, zasiewać mogiłkami noworodków wszystkie cmentarze wiejskie, albo też korzystać w sekrecie, wbrew rozporządzeniu „ministerjalnemu“ z pomocy „babeł“, a potem ukrywać skutki nieumiejętności lub nadużycia przed kontrolą lekarską? Piękny system, zarówno wychowawczy, jak humanitarny!...

Zdawałoby się, że gdy zwrócono uwagę na nieumiejętność i pełne zabobonów praktyki „babeł“, sfery miarodajne postarają się najpierw przeszkolić je, wyselekcjonować, dać im choćby półroczne kursy przy szpitalach sejmikowych, lub wogóle w miastach, gdzie są zakłady położnicze, stworzyć zastęp pielęgniarek z tych kandydatek, które masowo zgłaszają się co rok do szkół położnictwa, a z powodu różnych formalności nie mogą być do nich przyjęte; zachować szkoły roczne, dopóki nie zaspokoi się najelementarniejszych potrzeb wsi, i dopiero wtedy założyć szkoły dwuletnie, dla wykształcenia wybranego materiału, o lepszym przygotowaniu umysłowym i społecznym, i o większych zasobach materialnych, pozwalających na dwuletni pobyt w mieście.

Takby się zdawało, jednak stało się inaczej; nie pomogły perswazje lekarzy ordynatorów domów położniczych i szkół, nie pomogły przykłady, z innych krajów zaczerpnięte, a dowodzące, że np. w Anglii urządzone półroczne kursy położnictwa, byle jaknaj-

prędzej dać pomoc rodzącym matkom i noworodkom po wsiach.

Stoimy przeto przed faktem dokonanym: *szkoły położnicze roczne zamieniono na dwuletnie, a „babkom“ praktykować zabroniono*. Z tego wypływa nowa troska: jak umożliwić kobietom, chcącym się wykształcić na położne, dwuletni pobyt w Warszawie? Przecież to są osoby przeważnie niezamożne; z trudem, zadłużywszy się, zdobywały się na przewvegetowanie jednego roku w stolicy; któraż z nich będzie mogła przebyć tu dwa lata? A poza troską o zaspokojenie najelementarniejszych potrzeb życia codziennego tego liczego grona (paręset osób) bardzo pożytecznych dla kraju jednostek, jakże poważną jest obawa pozostawienia ich tak długo bez należytej opieki moralnej; przecież ogromna większość uczennic to są młode stworzenia — od 18 do 23 lat. Jakże często taka młoda położna jest, obok nauczycielstwa, jedynym elementem kulturalnym na wsi; jakże często, poza pomocą zawodową, udzielać musi rad wszelakiego rodzaju — wychowawczych, gospodarczych, higienicznych i innych; jakże więc ważną jest rzeczą dać jej w czasie dwuletniego pobytu w Warszawie o ile można najwięcej dobrych wpływów z dziedziny kultury ducha, dobrego wychowania, zasad moralnych, któreby z niej uczyniły jednostkę społeczną, na której oprzećby się mogła praca kulturalno-oświatowych organizacyj na wsi. Zadanie to spełnić może tylko dobrze prowadzona bursa.

W głębokim zrozumieniu tej palącej sprawy zebrało się grono osób, złożone z przedstawicieli świata lekarskiego, samorządowego, oraz przedstawicieli organizacyj kobiecych oświatowych w biurze wydziału opieki społecznej przy magistracie na zebranie organizacyjne pierwszej bursy dla uczennic położnictwa. Z grona tego wybrano komitet, w osobach pp. Józefa Beka, prezesa biura zjazdów samorządów, Dobraczyńskiego, dyr. wydziału opieki społecznej miasta Warszawy, Dra Jasielowicza, dyrektora miejskich szkół położnictwa, Dra Orzechowskiego, lekarza powiatu warszawskiego, oraz pań: Kuczyńskiej, reprezentantki Zjednoczonego Koła Ziemianek, i Restorffowej, przedstawicielki Wydziału Kół Gospodyń; zadaniem komitetu jest bliższe zajęcie się sprawą założenia owej bursy.

Bez pomocy organizacyj społecznych, a w pierwszym rzędzie samorządowych, sprawa ta załatwić się nie da. Koszt utrzymania uczennicy wyniesie około 120 zł. miesięcznie. Z powodu wielkiej drożyzny mieszkań w Warszawie i trudności w ich zdobyciu, kan-

dydatki, chcące poświęcić się położnictwu, powinny otrzymać pomoc z kas komunalnych, czy to rad gminnych, czy sejmikowych, czy miejskich. Obecnie budżety są już od kwietnia uchwalone, nie mniej jednak sądzimy, że z funduszków dyspozycyjnych dałoby się w każdym wypadku uzyskać na nadchodzący rok szkolny choć niewielką zapomogę, z tem, że zarówno wydziały powiatowe, jak magistraty uwzględnią i przedstawią radom i sejmikom w przyszłym roku budżetowym pozycję na kształcenie położnych dla swoich miast i wsi.

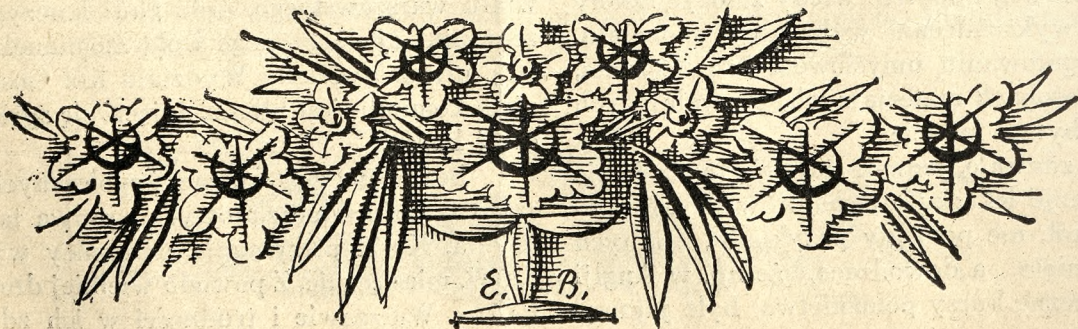
Opinia oświeconej warstwy społecznej, zwłaszcza pań ziemianek, zjednoczonych w sekcjach Kół Gospodyń, radnych wychowania przy Kołach, oraz członkiń innych zrzeszeń oświatowych, powinny

wpłynąć na pomyślne załatwienie tej sprawy w ciałach samorządowych. Dopóki nie zdobędziemy dostatecznej ilości położnych po wsiach, zrzeszenia kobiece kulturalno-oświatowe mają ważne zadanie do spełnienia, w formie zorganizowania choć prowizorycznej pomocy dla rodzących; przy współudziale powiatowych urzędów zdrowia, stacyj opieki nad matką i dzieckiem i zarządów szpitali, tam, gdzie one istnieją. Przy szpitalach powiatowych powinny wszędzie powstawać sale porodowe, a młode matki muszą być zachęcane do korzystania z nich, choćby na krótki, kilkudniowy pobyt. Akcja w tym kierunku musi iść energicznie, aby rozporządzenia, o których na wstępie była mowa, nie odbiły się katastrofalnie na zdrowiu i życiu matek wiejskich i na ludności naszych wsi.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

STRASZNY ŻAL ŚWIĘTEGO PIOTRA

*Już Krzyż był gotów, żołnierz niecierpliw
radby porócił od męki do żywych,
ze skwaru do chłodnej wody rzymskich wodociągów.
Lecz Piotr Apostoł jeszcze się, modląc, ociągał,
lica, niby od słońca, rękami ocieniał,
a miał na nich dwie bruzdy i dwa łoż strumienie.
Bo ciągle jeszcze widział siebie na owem podwórzu
i żołdaków spoconych, zachrypłych od kurzu,
i słyszał, jak o kamień ślizgały się włócznie
i głos czyjś: „Ty wszak byłeś także jego uczniem!”
— i swoją odpowiedź, krótką, wzgardliwą, przeczącą...
... I śpiew koguta... Wreszcie falę łoż palącą,
która wówczas wozbrana i dziś nie skończona,
dotąd biła przyplwem — zamknął i pokonał,
by móc rzec setnikowi, co się doń przybliżał:
„Pax tibi. A przybijcie mię głową w dół do krzyża“.*



EUGENJA KOBYLIŃSKA-MASIEJEWSKA

DLACZEGO PANI NIUŚKA NIE NAPISAŁA NOWELKI?

[2]

Ale gdy znowu znalazła się przy biurku, firanka nie chciała jej zsylać natchnienia, mimo iż usiadła cicho i statecznie (niesforni chłopcy z pierwszego piętra zbiegli na podwórze). W tej ciszy dosłyszala pani Niuśka wyraźnie i boleśnie suchy kaszel swego jedynaka, dobiegający z oddali.

— Boże, jakie życie jest trudne! — pomyślała, otwierając okno. — Wracaj, kochanie, do domu. Zażębiłeś się widocznie.

Z pod okna rozległ się gorący protest, ale matka była nieubłagana. Na widok błyszczących nienaturalnie oczu Zbyszka odbiegła ją ochota do pisania. Zmierzyć temperaturę? Tak... Może zresztą nic mu nie jest? Co do Zbyszka, to twarzyczka mu się rozjaśniła. Lubił mierzyć temperaturę. Oznaczało to przedwstępne pertraktacje z chorobą, którą matka starała się jakoś zażegnać. Ale Zbyszek poddawał się jej z przyjemnością. Co może być miłszego w pewnych wypadkach? Lekeje nie istnieją. Mama na osobiste usługi od rana do nocy i od nocy do rana. Człowiek pławi się w rodzinnej serdeczności. Nikt nie śmie powiedzieć: bałwan! Dzieciak przechylił głowę z bolejącym wyrazem.

— Jestem taki osłabiony!

— Idźże! tylko bez komedyj! Niedawno hasałeś, jak bizon w prerjach, a teraz.. osłabiony!

— Mama drwi ze mnie? Dobrze! Ja już nic nie powiem. Ale ciocia Jania, jak jej które dziecko zachoruje, to zaraz kładzie do łóżka...

— Dosyć! Kładź się! Mierzymy temperaturę. Możesz się uspokoić.

37.8! Jednak! Nagła fala troski, wzdęta i niepokojna uderza w serce. Sprzęty dokoła sztywnieją w zagadkowe sylwety... Prawie widać, jak spłoszone chwile w takt zegarowych śpiesznych kroczków uciekają z pod rąk i tłoczą się w szparę między drzwiami a podłogą. Niemądre ręce przestawiają coś na stoliku, jakby to było najważniejsze, a wzrok zaledwie ukradkiem szuka łóżeczka syna. Chłopiec leży, zadowolony. Widać, że tylko przez poczucie przyzwoitości stara się nie uśmiechać. Jego wygląd klóci się z popłochem, który zapanował w atmosferze pokoju. To też wzdęta fala troski opada. Budzi się nawet lekka uraza do syna.

W szparze drzwi ukazuje się potargana ciemna głowa Marysi:

— Ach jej! Co to takiego? Chory?!

— Chory! — odpowiada Zbyszek z triumfem. Matka wychodzi cicho z pokoju.

— Paniczka! — dziewczyna schyla się do jej ręki. — Pani moja kochana! Przepraszam. Ja dla pani... wszystko! Jak co, tak i rzuca ten „zamaz“! Jeszcze nie rozumiem się na tej materji. Nie chciała ja tylko badzać się po obcych domach. Ale u pani jabym została. Ja mężczyznów... niebardzo!

— Jeżeli kochasz, to wychodź zamaz!

— A Jezus Ty moj! Co pani?! Ja i nie wiem, jak to z temi miłościami. Mnie nie w głowie. On taki czarony! Taki cham. Tylko, że sierota ja...

— Oj, oj! tylko nie becz. Potem pomówimy. Zobacz, kto dzwoni.

Marysia, dławiąc w sobie chlipanie, znika za drzwiami.

— Ach, to pan, panie Edwardzie?! W porę! Dziś pański fach mi się przyda. Proszę obejrzeć Zbyszka. Coś mu się stało.

Jest już zmrok. Nad łóżkiem Zbyszka rozbłyskuje lampa. Chłopak krzywi się i mruży zaczerwienione oczy. Jest bardziej niegrzeczny, niż zwykle. Chowa się pod kołdrę. Nie życzy sobie doktora. Narzeczcie po wielu pertraktacjach poddaje się z westchnieniem badaniu.

Młody doktor kręci nim na wszystkie strony z wielkiem skupieniem w zmrużonych oczach.

— Co pan mię tak wali po plecach, jak cepem? Nie mogę wytrzymać — broni się zmienionym głosem pacjent.

— Cóż ty sobie wyobrażasz ostatecznie? — irytuje się doktor. — Może myślisz, że dla własnej przyjemności oglądam twoje plecy?

— Nic nie myślę... Ale jabym się panu nie dał, żeby nie mama.

— A ja też nie znoszę takich smarkaczy! I żeby nie twoja mama...

— Ojej! nie klóćcie się. Panie Edwardzie, właśnie idę przyrządzić panu herbaty... Zbyszczku, dostaniesz malinek...

— Niech mama będzie spokojna, już ja zniosę jakoś te męczarnie... dla mamy — pociesza matkę wspaniałomyślny synek, patrząc wyzywająco na doktora.

Ten wzdycha ciężko i ze specjalną złośliwością przyciska chłopcu język łyżeczką.

— K...ch...a! — krztusi się Zbyszek. — Uf!... Nie, muszę panu powiedzieć, że pan jeszcze się nie nadaje na doktora. Kcha! Kcha! Kcha!... to przez pana ten kaszel! Skaranie boskie z takim doktorem!

— No, wie pani — odzywa się oszołomiony doktor — to jest ananas!

— Wiem o tem! — mówi grobowo pani Niuśka. — To dlatego, że tatuś jest takim wędrującym sędzią prowincjonalnym. Ha!... żeby był w domu...

— Nic pilnego!... Kcha! Kcha! Nie lubię mężczyzn w domu! Mówią tylko o skórobiciu — odzywa się malec. — Tatuś tu jest niepotrzebny.

— Jezus, Marja! co ty wygadujesz? Panie Edwardzie... to on dlatego, że chory. On niezawsze jest taki!

— Zawsze jestem niegrzeczny! Wszysey to mówią — stwierdza prawdomówny syn. — Nie znoszę grzecznych dzieci!

— Dość! Nakryj się! Zamilecz!

Pewien ton głosu robi swoje. Chłopak milknie natychmiast.

— Więc, co mu jest właściwie? — spytała pani Niuśka już w drugim pokoju, gdzie nachmurzony doktor wycierał ręce.

— Możliwa... odra. Tylko proszę o spokój. Nic strasznego. A dzieciak jest nieznośny. Jabym mu dał w skórę!

— Oho! zobaczymy, kto komu! — ryknął czujny malec za drzwiami.

— Cicho! Odra? O, mój Boże! to dosyć długa historia?

— Głupstwo! Będzie pani pilnowała, żeby się nie zaziębił. Okna przysłonić. Zresztą, zapiszę lekarstwo.

*

Wieczorem Maryśka przejawiała moc dobrych chęci, miotając się, jak podsmalona, po pokojach. Piersi jej podskakiwały pod barwnym perkalem, gdy się krzątała, dudniąc bosemi piętami po podłodze.

— Ach, nie ciskaj się tak, Marysiu. To mi działa na nerwy. Czego się kręcisz, jak mucha w ukropie?

— Aj, pani, Zbyszczki mnie szkoda — sapała rzewnie dziewczyna, podchodząc do łóżka chorego. — Zbyszczka, kotik moj, rzucaj już na mnie hamhawkę, słowa nie powiem.

— Mama widzi, że ona jest głupia, jak stołowe nogi? — odezwał się niewdzięczny Zbyszek basem.

— Wstydź się, Zbyszku. Wiesz, jak mię to boli, ile razy powiesz coś takiego.

— Nic, nic, pani! Ot, wiadomo choreńki dzieciusek — łagodziła dziewczyna.

— Posiedź chwilę przy nim, Marysiu — odezwała się nagle pani Niuśka i, bezszelestnie stąpając miękkimi pantofelkami, odeszła od łóżeczka syna do swe-

go pokoju. Tam usiadła na chwilę przy biurku, patrząc dziwnie na rozłożone białe, puste papiery... Płynęło z nich jakieś niepokojące wołanie. Palce poruszyły się mimowoli i spoczęły łagodnie na bieli kartek. W dotknięciu tem była pieszczotliwość i niema prośba o przebaczenie. Pani Niuśka czuła się winna, że tak nie umie w życiu znaleźć dość czasu na rzeczy dla niej najmilsze. Że nigdy nie wie, co jest mniej, a co więcej ważne i słania się od chwili do chwili z bezradnością dziecka. Jedna chwila popycha ją do drugiej, a każda ludzkim głosem czegoś się od niej domaga... Pani Niuśka musi zadośćuczynić tym żądaniom. A w tej dreptaninie i w ciągłym przepychaniu się między tłumem natarczywych chwil, które razem tworzą codzienność, można przecie się zgubić, jak w dziwnym lesie. Pani Niuśka opuściła głowę na biały, chłodny papier, który żądał od niej myśli.

— Nie mam żadnych myśli... nie mogę mieć „swoich“ myśli — skarżyła się pani Niuśka. — Nie wyrastają one, jak kwiaty, na kamienistej ścieżce między domem, szkołą, piekarnią, rynkiem i apteką.

Pani Niuśka starała się usilnie być nieszczęśliwą w tej chwili. Ale nie potrafiła tego dokonać. Była tylko apatyczna i smutna.

Zresztą właśnie drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła Maryśka, potykając się o dywanik.

— Kab ty skis! — zaklęła po odzyskaniu utraczonej równowagi... — Czut nog nie połamała. Musi, paniczka, lekarstwo już gotowe będzie, tak możeby Antoni zbiegał do apteki, bo mnie prasować trzeba. A Zbyszula zasnął, katocek!

— Antoni? A skądże on tutaj?

— A takżeż siedzi na progu w sieni — wyznała wstydliwie kandydatka do stanu małżeńskiego. — I kijem jego nie odgonisz! Taki durny. Przeciwnie pomyśleć, że to już mnie z nim żyć trzeba będzie.

— Przecież nie chcesz zamaż wychodzić?

— Z jednej strony chce się, z drugiej nie chce się. Ależ, ot! taki naprzykrzony, że jak nic, swoje robi. Oj, biedna ja sierota, kto mnie bronić będzie?... — Już, już zaczynasz! Sama się broń, warjatko!

— Nie moga, pani. Niema rozumu u mnie!

— Wyjątkowo masz rację, moja droga — ziewnęła znudzona pani Niuśka. — Weź tu pieniądze. Ja może trochę popiszę...

— K... cha... kcha... kcha... Mamusiu! — zaniósł się kaszlem Zbyszek w drugim pokoju.

Pani Niuśka zdecydowanym ruchem zmiotła papiery z biurka do szuflady.

Nowelka nie została napisana.

KONIEC.

IDA KOTOWA

HROSWITA

(W TYSIĄCLECIE URODZIN POETKI)

W księstwie Sasów, w niewielkiej dolinie, otoczonej wieńcem leśnych wzgórz Harcu, nad rzeczką Gandą stanął w dziewiątym wieku wspaniały klasztor białych mniszek benedyktyńskich, od rzeczki nazwany Gandersheim. Dziś próżnoby szukać tych dawnych jego murów, a jednak chwałą jego rozbrzmiewa teraz cały świat kulturalny, bo oto właśnie rok 1930 jest przyjęty za tysiąclecie urodzin łacińskiej poetki Hroswity, mniszki klasztoru Gandersheim. Jej zamiłowanie do literatury i niezwykły talent sprawia, że postać jej wybija się jaskrawo ponad swój czas i swoje otoczenie, że nie tylko wśród kobiet, ale i wśród mężczyzn nie ma rywali na przestrzeni całych wieków.

Zakon był dla talentu Hroswity wszystkim: i ziemią, i promieniem słonecznym, i rosą.

Klasztor w Gandersheim jest to pierwsza fundacja książęcej rodziny, której synowie niedługo później zdobyli najwyższą władzę świecką świata chrześcijańskiego: tytuł cesarzy rzymskich. Przeoryszami były w nim z kolei córki dynastji, wzorujące się na tradycji Karolingów, a więc dbałe o poziom nauki i znajomość literatury starożytnej. Szkoła klasztorna stanowiła przedmiot ich pieczołowitości. Kiedy w niej znalazła się Hroswita, magistram szkoły była uczona Riccarda.

Tej to Riccardzie przypadł zaszczyt kształcenia małej Hroswity. Dziecko musiało pochodzić ze znakomitej rodziny, jeżeli znalazło przystęp do tak dostojnego zgromadzenia. Poza tym domysłem o rodzice jej nic nie wiemy. Cały blask swego imienia, który tyle wieków przetrwał, tylko samej sobie zawdzięcza.

Dziewczętko musiało dobrze się czuć wśród białych sióstr. Riccarda, spostrzegłszy niebywałe uzdolnienie dziecka, serdecznie się niem zajęła. Całą swoją wiedzę starała się przelać w uczennice, której ruchliwy umysł coraz szersze zataczał kręgi, a lotna pamięć coraz nowego wymagała paliwa. Jak miły był stosunek między dziewczęciem a jego magistram, świadczą słowa Hroswity, pełne głębokiej miłości i wdzięczności, w jakich wyraża się o swej dawnej nauczycielce.

Hroswita czyta i czyta i przejmując się wszystkim, olśniona to treścią, to formą. Wreszcie pragnie spróbować własnych sił: pierwszą daninę swych zdolności składa u stóp Matki Bożej, więc pisze w heksametrach życie Najświętszej Panny, oczywiście, po łacinie, jak wszystko, co z pod jej pióra wyszło. Pierwsza ta próba idzie trochę nieporęcznie: temat za trudny, za święty. Przecie nie można niczego zmieniać, dodawać z własnej fantazji; trzeba trzymać się prawdy przekazanej, trwoga ogarnia przed najlżejszą zmianą; szczęściem, że istnieją apokryfy pisma świętego, a chociaż nasza Hroswita wie, że to tylko apokryfy, jednak nie boi się z nich czerpać szczegółów wobec tego, że już były utrwalone w formie literackiej. Rozwija się więc życie Matki Boskiej w słowach sztywnych i naiwnych, które jednak potrafią wyrazić własne przejęcie się poetki głębią świętości przedmiotu. Potem pisze jeszcze cztery legendy zrzędu, coraz

śmielsza w formie, coraz pewniejsza w wyborze motywów. Z tą swoją pracą literacką kryje się, nie pewna jeszcze swego talentu i swej umiejętności.

Wreszcie zbiera się na odwagę i pokazuje legendy najbliższym swoim, zapewne Gerberdze i Riccardzie. Obydwie nauczycielki, pełne podziwu dla talentu i dumne z uczennicy, obsypały ją pochwałami i jak najgoręcej zachęciły do dalszej pracy. Tymczasem Gerberg zostaje księżką, a młoda poetkę, która do dawnych trzy nowe dodała legendy, spotkało w klasztorze wielkie wyróżnienie: oto poezje jej, mówiące z największą czcią i najgłębszą wiarą o życiu i męczeństwie Świętych Pańskich, czytano jako pobożną lekturę w refektorjum. W ciszy zakonnej rozbrzmiewały heroiczne heksametry ku zbudowaniu zasłuchanych sióstr zakonnych.

Legendy Hroswity nie wykazują nic oryginalnego w opracowaniu. Uwagę zwracają na siebie tylko dwie: „Teofilus” i „Basileus”: w nich pierwszy raz spotykamy w literaturze temat faustowski. Pierwsza właśnie Hroswita zauważyła, jakie bogactwo możliwości literackich tkwi w motywie człowieka, opawanego jakimś pragnieniem i tak oślepionego namiętnością, że dochodzi do własnowolnego zaprzędania duszy siłom nieczystym. Nawet wspaniała scena na Blocksbergu w „Fauście” Goethego ma w „Teofilu” już swój prototyp.

Sława Hroswity nie urosła z jej legend, ani z poezji historycznej, ale z jej dramatów.

Umysł Hroswity był zbyt ruchliwy, a talent zbyt szeroki, aby legendy Świętych Pańskich na zawsze zatrzymał je mogły. Oczytanie w klasycznej literaturze wydało plon zgoła nieoczekiwany. Mniszka nasza zapragnęła, ni mniej, ni więcej, tylko usunąć z rąk czytających swawolnego komedjopisarza rzymskiego, Terencjusza. Utwory jego były bodaj czy nie najbardziej popularne z całej literatury klasycznej. Jego ogromne bogactwo słów, szczególnie wyrażań codziennej potrzeby, sprawiało, że był chętnie używany nawet w szkołach przy nauce łaciny, mimo jaskrawo niemoralnej treści utworów. Pobożna zakonnica postanowiła w formę komedij pogańskiego pisarza wlać treść nową, świętobliwą, godną wyznawcy Chrystusa, głosząca chwałę Imienia Bożego i Świętych Jego męczenników.

Mimo całej świętobliwości, rozumiała jednak, że poza piękną łaciną popularność Terencjusza tkwi i w jego erotyzmie i swawolności tematów; postanowiła więc swoim talentem, którego jej Bóg w łaskowości swojej użyczyć raczył, wykazać, jak ponad wszystkie światowe miłości i ponad wszelką swawolę króluje moc i miłosierdzie Pana nad Pany.

Hroswita poprzedziła swoje dramaty przedmową, a oprócz tego „Listem do kilku uczonych mężów, łaskawych dla jej książeczki”; są to dokumenty nad wyraz ciekawe i charakterystyczne. Tłumaczy tu nam bowiem autorka, dlaczego zabrała się do pisania dramatów i dlaczego nie unikała motywów drażliwych. Oto — jak się dosłownie wyraża:

„Wielu katolików, od czego i ja sama nie mogę się uniewinnić, z powodu ozdobności wytwornego języka, próżność pogańskiej literatury przekłada ponad użyteczność Pisma Świętego, z którego przecie tyle błogosławieństwa płynie. Niejeden, który studjuje Pismo Święte, a gardzi wszystkim, co pogańskie, przecie żarliwie się rozczytuje w tworcach wyobraźni Terencjusza i rozkoszując się czarem jego mowy, nie zauważa, że ulega skażeniu bezbożną treścią utworów. Dlatego to ja — mówi o sobie — „Clamor validus“ (donośny głos z Gandersheim), postanowiłam starać się naśladować formę rzymskiego pisarza i sposobem, w jaki on opisywał miłości nierządnych dziewcząt, wedle lichego mego talenciku opiewać uwielbienia godną czystość świętych dziewic...

Stąd jednak nieraz musiałam przerazić się i oblać rumieńcem wstydu, kiedy, pisząc, czułam się zmuszoną obmyślać i piórem utrwałać swawolnych kochanków ohydne szały i odrażające ich rozmowy, których nawet słuchać nam nie wolno. Gdybym, bowiem, przez wstydlivość tego zaniechała, nie dopięłabym celu i nie zdołałabym w całej pełni wedle sił moich wyśpiewać pochwały istot cnotliwych. Albowiem chwała Pana Niebieskiego okazuje się tem wspanialsza, zwycięstwo cnoty tem bardziej promienne, im więcej czaru mieściły w sobie miłosne słowa, zwłaszcza, jeżeli siła męska musiała ustępować unicestwiona przez wąż kobietę“.

Gdy już trzy pierwsze dramaty ukończyła, zwierzyła się z nimi przed zaufanymi siostrami i ksienią,

pewna, że znajdzie u nich, tak, jak dotychczas, zrozumienie dla swej pracy twórczej, życzliwe wskazówki i słowa zachęty. Tymczasem protektorki ogarnął lęk. Jak z jednej strony sam już pomysł rywalizowania z Terencjuszem wydał im się zbyt śmiały, tak w łączeniu scen męczeństwa i żywotów świętych ze scenami terencjuszowskiego wyuzdania ujrzały profanację świętości tematów. Nie mniej musiały się czuć urażone wprowadzeniem do dramatów motywów z mimu gminnego. Nie padły żadne słowa zachęty dla zawiedzionej poetki. Wyrozumiałości tylko dowiodła Gerberga tem, że pozwoliła Hroswicie wysłać rękopis do osądzenia świętobliwym mężom. I, o radości! trzech bardzo cenionych znawców wyraziło się z wielkiem uznaniem o jej twórczości dramatycznej, nie poskapiło jej wskazówek i poprawek i jak najgoręcej zachęciło, by nie ustawała w swej śmiałej pracy. Zdanie tych trzech krytyków podniosło Hroswicę na duchu. Napisała więc jeszcze trzy dramaty tak samo, jak i powyższe, prozą łacińską, częściowo ry-

(dok. nast.)

DOM STUDENTEK WE LWOWIE

Kto, przeszedłszy długą, ciągnącą się bez końca, ulicę Zieloną we Lwowie, skręci w boczną Torosiewiczza, przystanie zdziwiony przed ogromnym budynkiem, niewykończonym jeszcze nazewnątrz i świecącym czerwienią cegieł.

To „Dom Studentek“. Jakżeż śmiesznie za-

brzmiaby ta nazwa jeszcze przed laty 30-tu, wtedy, gdy pierwsze studentki wywalczały sobie wśród drwin i szykan prawo obywatelstwa na uniwersyteckiej ławie. Dziś głośno i z dumą powtarzamy: „Dom Studentek“. Obok domów akademickich męskich w każdym ośrodku uniwersyteckim istnieje taki



Zaciszny pokój w Domu Studentek.

sam dom żeński. „Dom Studentek“ we Lwowie zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Zewnątrz jeszcze niepozorny i brzydki; aby ocenić go i aby się nim zachwycić, trzeba wejść do środka. Wchodzącego uderzy nadzwyczajna, bijąca wprost w oczy, czystość. Wszystko w „Domu Studentek“ jest białe. Dom dwupiętrowy; trzecie piętro zwie się poddaszem, pokoiki tam malutkie, tuż pod dachem. Na wszystkich piętrach ciągną się długie, jasne i przestronne korytarze; po obu ich stronach biela się szeregi drzwi, prowadzących do pokoi.

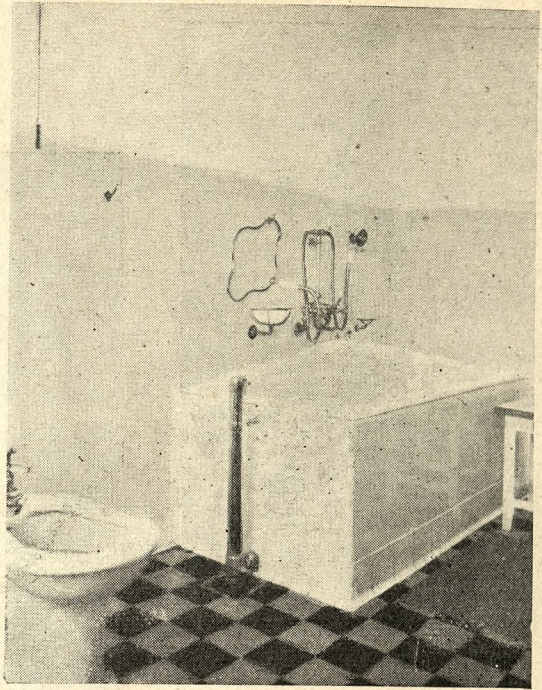
Zapukajmy do pierwszego z nich. Wchodzimy do malutkiego, wyścielonego linoleum przedpokoiku, przekreścamy kontakt i oto uderza nasze oczy niepokalana biel umywalni, błyszczą kurki mosiężne, po których odkręceniu mamy do dyspozycji wodę zimną lub ciepłą. Z drugiej strony wmurowana w ścianę biała szafa, nawprost wejścia oszklone drzwi prowadzą do właściwego pokoju.

Wielkość pokoju zależna jest od tego, czy jest on pojedynczy, dwu czy trzyosobowy. Znow uśmiechną się do nas białe ściany i białe łóżka; tylko półki, obciążone książkami, i duży stół, wykładany zieloną masą, każą się domyślać, że tu mieszka studentka. Firanki w oknach, dywany, ładne obrazy, kwiaty w doniczkach — to wszystko sprawia, że miłe wnętrze w niczem nie przypomina zwykłych studenckich pokoi.

Codzień rano z tych białych, jasnych pokoiów wysypuje się rój młodych istot i śpieszy do pracy, by powrócić w południe na obiad. Zaludnia się w tych godzinach narazie jeszcze prowizoryczna (bo właściwa nie jest wykończona) jadalnia; przy okienku, wiodącym do kuchni, stoi długi ogonek i czeka na wydanie obiadu. W godzinach popołudniowych znow cisza zalega cały duży dom, aż dopiero wieczorem czyni się gwarno, przedewszystkiem w pokojach



Studentka przy kuchence gazowej.



Łazienka w „Domu Studentek“.

„gospodarczych“: tam studentki gotują kolację. Na każdym piętrze znajduje się ten t. zw. „gospodarczy pokój“, gdzie mieści się kuchenka gazowa i różne przybory gospodarcze. Ile ten pokój słyszy nieraz zwierzeń, ile śmiechu, ile różnych domowych ploteczek — to strach!

Proszę nie myśleć jednak, że studentka tylko się uczy i gotuje: studentka przyjmuje jeszcze gości. Salonem przyjęć jest jadalnia, oprócz godzin obiadowych zawsze do dyspozycji, regulamin bowiem zabrania przyjmowania gości w pokoju. Gości w „Domu studentek“ jest zwykle dużo, mieszkanek przecie jest około 150, a każda kogoś zna, do każdej ktoś przychodzi. Ile tam się nici sympatji nawiązuje, ile... ale bądźmy dyskretni.

Biedne telefonistki lwowskie mają też kłopot z „Domem Studentek“; ileż to razy słyszą 51-61, 51-61, a połączyć nie mogą, bo linja już zajęta. Studentki bardzo lubią telefonować, ale regulamin zabrania rozmów dłuższych ponad 5 minut.

Zapomnieliśmy jeszcze o jednej rzeczy, wartej widzenia w „Domu Studentek“: o łazienkach, urządzonych z prawdziwym komfortem, według ostatnich wymagań higieny. O zdrowie mieszkanek dba własna lekarka „Domu“, a dla chorych jest przeznaczona specjalna infirmerja.

Tętni tu i wre młode życie.

Studentka lwowska może być dumna ze swego dużego, białego i zacisznego „Domu“, w którym dziesiątki młodych dziewcząt znajdują ostoję i opiekę. Na widok tych jasnych pokoi budzi się pragnienie, aby wejść do nich mogły te pierwsze studentki, które walczyły i szły przebojem, torując drogę swym następczyniom. Aby spotkały się i uśmiechnęły do siebie — te dawne i te dzisiejsze. Zofja Grodecka.



Scena z filmu „Atlantic”

Dziecko w pasie ratunkowym
z filmu „Atlantic”



Scena z filmu „Melodja serc”

Z ŻYCIA EKRANU

(Po półrocznej znajomości z filmem dźwiękowym)

Fala filmów dźwiękowych zalała warszawskie ekrany z siłą niepokonanego żywiołu. Żywioł ten rozpętał wytwórcy amerykańscy, którzy, chcąc „oczyścić” rynek z konkurencji, wykupili i zniszczyli negatywy ostatnio wyprodukowanych filmów niemych, zapewniając sobie w ten sposób zbyt dla produkcji dźwiękowej, w którą włożyli wiele milionów. Brak nowych filmów niemych zmusił więc do wprowadzenia aparatury dźwiękowej nawet tych właścicieli kin, którzy długo się przed tem bronili.

Należy stwierdzić, że po pierwszym podziwie dla „cudu” technicznego i po pierwszych snobistycznych zachwytach nad „nowością” — stosunek publiczności do filmu dźwiękowego stał się więcej krytyczny. Coprawda, same te filmy uległy już pewnemu zróżniczkowaniu, pozwalając zorjentować się, co w nich istotnie ma warunki rozwoju, a co jest tylko próbą bez przyszłości.

Wśród filmów, zwanych ogólnie dźwiękowymi, odróżniamy kilka rodzajów, które, podzielone na grupy, przedstawiają się, mniej więcej, w sposób następujący:

1) Filmy, tworzone dla solistów (pierwsze dźwiękowce), np. dla Jolsona lub Chevalier’a, pozbawione są wszelkich wartości kinematograficznych, nudne i ekliwe; w filmach tych punkt ciężkości leży w jednej lub kilku piosenkach solisty, do których sztucznie dociąga się treść.

2) Filmy właściwie „nieme”, tylko z ilustracją muzyczną, specjalnie dobraną i synchronizowaną, ewentualnie — z dodatkiem pewnych dźwięków lub odgłosów, jak np. bicie zegara, świst lokomotywy, warkot motoru i t. p. Jest to rodzaj dosyć miły, gdyż wrażenia akustyczne nie absorbują widza do tego stopnia, żeby mu „przeszkadzały” patrzeć (a i to się w dźwiękowcach zdarza), lecz są dyskretnym i harmonijnym dopełnieniem wrażeń wzrokowych. Inna kwestja, że gdyby taką ilustrację, idealną pod względem ujednostajnienia, doboru i wartości muzycznej, dało się osiągnąć przy „żywej” orkiestrze, byłoby to stokroć przyjemniejsze, gdyż słuchanie przez

dłuższy czas mechanicznej muzyki — nawet najbardziej udoskonalonej — jest jednakże nużące. Z lepszych filmów tego typu wymienić należy: „Białe cienie”, „Skrzydlatą flotę”, „Marsz weselny”, „Nocną wartę”.

3) Filmy oparte na podobnej zasadzie, jak grupa pierwsza, ale jakgdyby „uszlachetnione”. Osią filmu jest tu nie solista, lecz piosenka, stanowiąca przewodni motyw muzyczny. Ilustracje do takich filmów są często specjalnie komponowane, zaś popularność „przebojowej” piosenki, a więc strona muzyczna filmu, stanowi o jego powodzeniu. W każdym razie mamy tu już pewną dbałość o stronę wizualną, której w pierwszej grupie dźwiękowców nie znajdujemy. Nawet zużyte motywy egzotyczne (Meksyk, morza południowe), zawsze mile dla oka, nabierają tu świeżości, dzięki wkładkom muzycznym i śpiewanym, bez których filmy takie, jak „Poganin”, lub „Pieśń żywiołów”, byłyby tylko przeciętnymi dobrymi filmami, jakich widywaliśmy już dziesiątki. Natomiast synchronizacja odbija się niekorzystnie na tempie akcji, której rozciąganie jest nieuniknione, z powodów czysto fizycznych (światło przebiega tę samą drogą znacznie prędzej, niż dźwięk).

4) Odmienną grupę tworzą filmy, w których dźwięk nie ma być tylko ilustracją lub dopełnieniem, lecz powinien być *współczynnikami* w całości wrażenia. Pierwszym widzianym u nas filmem tego rodzaju był „Upadły anioł”. Stanowił on jakgdyby przejście od rodzaju, wymienionego w grupie III-iej, do rodzaju wyższego, do tej tak szumnie zapowiadanej „nowej sztuki”, w której dźwięk i obraz mają tworzyć nierozdzielalną całość. Była to jeszcze nieśmiała próba, zastosowana tylko w jednej scenie (dziewczyna, występująca w kabarecie, śpiewa wesołą piosenkę, ale wyraz jej twarzy niepodobny jest do tego, jaki ma przy tem zwykle, gdyż „oczyma duszy” widzi w tej chwili właśnie ukochanego w niebezpieczeństwie); ale scena ta wykazała, że to jest droga, po której warto iść dalej. Poraz pierwszy dźwięk w połączeniu z obrazem został użyty dla uwytknienia *kontrastu* między rzeczywistością zewnętrzną a du-

chową. Jeszcze dobitniej i już z dużym opanowaniem tego rodzaju techniki, podobny efekt został zastosowany w filmie wytwórni angielskiej reż. Dupont'a p. t. „Atlantic“ (ludzie, szalejący ze strachu przed śmiercią, walka o dostanie się do szalup i — orkiestra, w pasach ratunkowych, grająca na pokładzie „wesołe kawałki“). Znowu doskonały kontrast obrazu i dźwięku.

Do tej samej grupy należy pierwszy dźwiękowiec niemiecki „Melodja serc“, który odbiega daleko od wkładek muzycznych. Cała strona akustyczna (zarówno muzyczna, jak odgłosy) wypływa logicznie z treści filmu. Jak świetnie wpleciony jest np. „śpiew“ służącej, uprzyjemniającej sobie w ten sposób pracę, lub gra na harmonji młodego żołnierza, chcącego w ten sposób zagłuszyć ból.

Jednakże „Atlantic“ zasługuje na specjalne omówienie z tego względu, że, należąc w zasadzie do tej grupy, co filmy ostatnio wymienione, stanowi jednakże jakiś punkt znamienny, a może i przełomowy w charakterze dźwiękowców. Rezygnuje z „muzyczności“ na rzecz „akustyczności“ — rezygnuje z fabuły na rzecz realistycznego odtworzenia kilku godzin życia na wielkim oceanicznym parowcu, przed katastrofą i podczas tonięcia. Zamiast intrygi miłosnej — stosunek różnych typów ludzkich do niebezpieczeństwa — względność rzeczy, które z „najważniejszych“, jakimi były przed godziną, stają się nagle, wobec śmierci — śmiesznie błahe.

Zarówno zadanie, jakie sobie postawił Dupont, jak jego wykonanie — odbiegają od tego, cośmy zwykli oglądać w kinie, pomimo to, że film ten nasuwa niejedno zastrzeżenie. Pierwsza część np. — to tylko djalogi, prowadzone co jakiś czas gdzieindziej — czysty teatr. Kino zaczyna się dopiero w chwili zderzenia z górą lodową. Napięcie wzrasta z każdą chwilą, zaś doskonale rozłożenie efektów optyczno-akustycznych potęguje dynamikę tych scen do tego stopnia, że w widzu wprost dech zamiera. I w tym właśnie kryje się zapowiedź czegoś nowego, wzbudzającego wiarę w to: że możliwości filmu dźwiękowego nie kończą się na „muzycznych numerach“.

Strona słuchowa w „Atlanticu“ jest równoznaczna z — wzrokową: przeraźliwe sygnały syreny, syk rakiet, stuk aparatu radjowego (S. O. S.) — mówią nam prawie tyle o grozie położenia, ile widok ludzi ze zwierzęcą zaciekłością walczących o życie. Wreszcie, rzecz niebywała — w scenie końcowej obraz ustępuje zupełnie miejsca dźwiękom: na ekranie nie widzimy nic, słyszymy tylko ostatnie dźwięki hymnu, zagłuszone przez krzyki tonących. I efekt okazuje się znakomity, może właśnie dlatego, że jest już próbą czegoś więcej, niż naturalistyczne odbicie życiowej prawdy.

A jednak, niema tu tego, do czego przyzwyczało nas kino: nie czuje się oddechu morza, nie czuje się przestrzeni, nie widzi — tła, na którym rozgrywa się ta tragedia. Nie pokazano nam, jaki jest stosunek tego oceanicznego olbrzyma do bezkresów oceanu. Jesteśmy ciągle jakgdyby wtłoczeni w ramy sceny, olbrzymiej wprawdzie i wielopłaszczyznowej, lecz jednak tylko — sceny. „Prawdziwe“ dźwięki zabrały nam „iluzoryczny“, a jednak tak intensywny smak soli i zapach morza, które — nie wiadomo, dzięki jakiej magji — odczuwaliśmy, patrząc na każdy dobry niemy film morski.

Ale trudno! Na to musimy się przygotować, że kino, w ciągłej pogoni za możliwością rywalizacji z rzeczywistością, będzie dawało coraz mniej pracy naszej wyobraźni. Czeką nas przecież wkrótce film kolorowy, plastyczny i „zapachowy“. Będzie to prawdopodobnie taka sama plaga, jak np. t. zw. „stuprocentowe talkiesy“ (czyli — „gadacze“), które omówimy w najbliższej przyszłości.

Stef. H.



Teatr Narodowy: „Zły szeląg“ — komedia w 3 aktach Brunona Winawera. Reżyserja Ludwika Solskiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Teatr Letni: „Wysoka stawka“ — krotchwila w 3 aktach Wincentego Rapackiego, reżyserja dyrektora E. Chaberskiego.

Teatr Ateneum: „Władza się nie myli“ — komedia w 4 aktach Rolanda Betscha. Przekład M. Wileckiego. Reżyserja A. Piekarskiego. Dekoracje E. Poredy.

Teatry nasze wyprzedziły kanikule, dając szereg premier, obliczonych na stepioną przez upał wrażliwość i zmysł krytyczny widza.

Najwyższą skalę „inteligencji“ posiada wśród nich „Zły szeląg“ Winawera. Jest to sztuka nawskroś mózgowa; czynnik intelektualny góruje w niej nad nerwem scenicznym; ludzie, w niej działający, mają w sobie coś ze sztucznie wyprodukowanych „robotów“, spełniających mechanicznie nakazy autora, który im narzucił taką, a nie inną funkcję życiową. To nieżycie, to laboratorium chemiczne dusz. Budzi zainteresowanie, ale nie rodzi współczucia. I dlatego widz obojętnie przechodzi obok tragicomedji nieuleczalnego „pechowca“, owego „złego szeląga“, którego nikt nie chce, choć nie jest on monetą fałszywą.

Najdowcipniejsi ludzie są podobno najbardziej zdecydowanymi melancholikami. Krańcowy pesymizm góruje w nich nad poczuciem humoru. Ten kompleks niewiary we własne siły zemścił się na „Złym szelągu“ — trzynastej z kolei sztuce ciężkiego i wytrawnego komedjopisarza. Irracjonalne kawały życiowe, któremi jest usiana akcja, nie zdołały zatrzeć nastroju przygnębienia. Beznadziejność wieje z tej fabryki kas ogniotrwałych, prowadzącej żywot suchotniczy w kraju, w którym nikt nie ma pieniędzy i odwagi wyjścia z zakłętą koła marazmu.

W świat zgola odmienny, ale bardziej jeszcze sztuczny, wprowadza nas Wincenty Rapacki w swojej „Wysokiej stawce“. Jest to typowa krotchwila w stylu „ogródków“ przedwojennych. Szkoda, że nie jest operetką, bo nonsensy śpiewane dają się strawić łatwiej od mówionych.

Fakt przegrania własnej żony w karty został zużytkowany sto lat temu przez Puszkina w jednym z jego frywolnych poemacików, nawet przez pedagogów rosyjskich młodzieży szkolnej nie zalecanych. Przeniesienie takiej, nie tyle komicznej, co trącej kordegardą sytuacji na grunt rzekomo polskich „stosunków klubowych“, jest conajmniej niesmaczne. Podobała się ona jednak wszystkim mężom, którzy woleliby przegrać otyłą jeźdź (Chaveau), a wygrać uroczę dziewczątko (Majdrowiczówna).

Teatr Ateneum wystawił niemiecką ramotę o grubo ciosanych sytuacjach i humorze najcięższego kalibru. „Władza się nie myli“ ma zakrój podwójnej satyry: na biurokrację i na manjactwo w stosowaniu teorii kompleksów przez lekarzy. Naprawdę jest makabrycznym błazeństwem, w którym torckci ponczowe płaczą się z prochami zmarłych, a cukiernia wchodzi w bliski kontakt z trupiarnią.

Na taki upał, to nawet niezdrowo. Trudną rolę „żywego nieboszczyka“ z przejściem dźwigał na swych barkach p. Piekarski. Życzymy mu szczerze, aby nie tylko na scenie odziedziczył miljon i nie potrzebował się wysilać na „powtórne życie“. Teatrowi Ateneum zaś, żeby jaknaprędzej wywietrzył wyziewy krematoryjne.

S. P. O.



Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Święto ognia“ — balet-opera w 4-ch aktach. Libretto Marjana Prażmowskiego. Muzyka Zygmunta Noskowskiego.

W świecie, na Zachodzie, czerwiec należy do pełni sezonu. Wystawia się wtedy rzeczy najlepsze, najstaranniej przygotowane, aby w pamięci publiczności utrwalić dobrą opinię teatru.

U nas, niestety, dzieje się inaczej; kto zna dokładnie stosunki, panujące w operze, wie dobrze, że w czerwcu wystawia się u nas rzeczy najslabsze, przygotowane poto, aby nie ukazały się więcej w nowym sezonie.

Już wystawienie „Boruty“ było fiaskiem i jaskrawym dowodem, że forma baletu-opery nie jest interesująca dla współczesnej widowni. Nazwisko Noskowskiego daje wprawdzie gwarancję utworu, napisanego logicznie, ale „Święto ognia“, mimo, że skomponowane barwnie i niepozabawione wartości czysto muzycznych, nie usprawiedliwia wznowienia po 28-miu latach.

Libretto Prażmowskiego jest bardzo słabe. „Święto ognia“ nie ma akcji; jest to suita tańców polskich, walców i czardasza, przeplatanych śpiewem solowym i chóralnym, o wyrazie lirycznym, muzycznie zajmującym, szczególnie w przeprowadzeniu instrumentów, z których skrzypce i wiolonczela mają ładną linię melodyjną. Pozatem stworzenie pewnej akcji z bardzo nikłej treści jest już rzeczą reżysera i baletmistrza.

Niestety, przygotowanie „Święta ognia“, w układzie tańców baletmistrza Zajlicha, nie przekroczyło tym razem ram nieznośnego szablonu. Znów te do znudzenia znane, zawsze te same, banalne ewolucje taneczne. Tylko interesująca koncepcja choreograficzna mogła trochę ożywić i zabarwić nudny temat. Za dużo, bowiem, czterech aktów poto, aby książę Stefan — polak czy węgier — wzgardził uczuciem cyganki Tyry i oddał swe serce dziewczynie z ludu, sierocie Halinie. Czystość serca zwycięża podstęp czarownicy-cyganki; wianki, rzucane na wodę, zażegnają czary — i na szczęśliwy przebieg wypadków czeka widownia przez trzy najdłuższe godziny.

Choreografia i dekoracje znane dobrze skądinąd.

Tylko Halina Szmolcówna, w roli cyganki Tyry, wyrsała ponad przeciętność, prawdziwie artystyczną mimiką, odważnym gestem, wrażliwością i finezją tańca.

Chóry i partje solowe przygotowane były dobrze.

Orkiestrę prowadził Marjan Rudnicki.

P. L.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWO M. ARCTA.

Tadeusz Miciukiemicz: „Tajemnice ekranu. Ludzie filmu“.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

Jerzy Szaniarowski: „Adwokat i róże, Żeglarz, Ptak“.

Stanisław Wyrzykowski: „Moskiewskie gody“ — Część II i III: „Zwycięskie słowa“. „Krwawy zmierzch“.

WYDAWNICTWO „MRÓWKA“

Gustaw Meyrink: „Demony perwersji“.

Marek Romański: „Gród szatana“ — powieść sensacyjna.

H. R. Berndorff: „Szpiegostwo!“.

Jadwiga Courts-Mahler: „Ofiary miłości“ — powieść.

Z KSIĄŻEK

Wacław Sieroszewski: „Pan Twardost Twardowski, czarnoksiężnik polski“. Powieść historyczna. 2 tomy. — Warszawa 1930. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“.

Gdybyśmy próbowali wyobrazić sobie zgóry, czem może być, zwłaszcza w czasach dzisiejszych prób naukowego badania różnych objawów nadnormalnych i wiedzy tajemnej, powieść o człowieku, uprawiającym magję, o czarnoksiężniku i alchemiku — napewno narzuciłyby się nam dwie koncepcje podejścia do tematu: jedna od strony tejże właśnie wiedzy tajemnej, okultyzmu, druga — filozoficzna.

Pierwsze ujęcie nastęrczyłoby autorowi okazję do sensacji, tajemniczości, wielkiego i nowego efektu twórczego; drugie, mniej może zawierające czynników powieściowych, mogłoby jednak — zwłaszcza u autora, takiego, jak Sieroszewski, talentu — stworzyć historję genetyczną, a może i krytyczną syntezę pewnych prądów ówczesnej myśli polskiej na tle tych samych prądów myślowych budzącej się ze średniowiecza ludzkości.

Sieroszewski wybrał inną drogę. Bohater jego jest nietyle czarnoksiężnikiem, magiem, okultystą, nawet nietyle filozofem, ile człowiekiem.

Losy jego są czysto ludzkie: perypetje miłości, intrygi dworskie, zawiść i chciwość, ciemnota i małoduszność — wszystko staje na drodze nie osobnika o potężnej indywidualności, zmagającej się z przeciwnościami spraw wielkich, lecz zdolnego, zapalonego w dociekaniu prawdy, obiecującego młodzieńca, w dodatku bardzo słabo zorientowanego filozoficznie i trochę... naiwnego.

Ale, takie były czasy — jest to przecież epoka upadku akademji krakowskiej, tkwiącej uparcie, nawet w połowie szesnastego wieku, w średniowieczu naukowym.

Ale i potem, po pobycie zagranicą, Twardowski nie zacerpnął więcej potęgi. Jest, rozumie się, głębszy, ale jednocześnie bardzo rozczarowany i zmęczony, pragnie tylko badać i dociekać w ciszy i spokoju. Co zbadał już, czego się dowiedział, czy znalazł już choćby nie drogę, ale jakiegokolwiek odczucie owej zagadkowej wiedzy, jest ona, czy jej niema w jego pojęciu? Tajemnica.

Moglibyśmy przypuścić, że studjujący magję i alchemję żak krakowski wyrósł poprostu ze średniowiecznych obsłonek i powrócił z renesansowego Zachodu innym człowiekiem. Tak jednak nie jest. Twardowski uprawia dalej praktyki magiczne, a choć nie złota w nich szuka, widać, iż w praktyki te jednak wierzy.

W całokształcie tej psychiki znać pewne niedomówienie. Wygląda to tak, jakby autor chciał przedstawić tylko dzieje człowieka, usuwając na plan dalszy umysłowość adepta wiedzy tajemnej i filozofa.

Zato te dzieje człowieka, rzucone na wspaniale odczute i przepyszenie scharakteryzowane tło epoki, tworzą obraz barwny, przedziwnie naświetlony i otwierający głębokie perspektywy. Ten właśnie człowiek, tak, jak go autor przedstawia, mądry i w gruncie szlachetny, a walczący tak ciężko z ludzką ciemnotą i obłudą, staje się nam bliski. Nie wiemy, czy jest czarnoksiężnikiem, wiemy, że jest jednym z pionierów wolnej myśli ludzkiej, prześladowanej i tłumionej.

I jeszcze jeden tytuł do uznania zdobył tu Sieroszewski, ze strony kobiet specjalnie: uroczą postać Kasi, zrehabilitowanej „Pani Twardowskiej“. Zamiast megery, znanej nam dotychczas z podań, wyrasta ideał wiernej, kochającej żony, naiwnej i nie-szczęśliwej, ale jakże pełnej miłości, jak dobrej i dzielnej!

N. J.

Kobieta w świecie i w domu

WALNY ZJAZD ZWIĄZKU PRACY OBYWATELSKIEJ Kobiet.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie walny Zjazd delegatek oddziałów Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Przed rozpoczęciem obrad odbyło się poświęcenie Domu Matki i Dziecka, przy ul. Wawelskiej, wzniesionego staraniem Związku. Potem obradowano w ciągu trzech dni w lokalu Kasy Garnizonowej; członkiń przybyło około 600. Na otwarcie przybyła p. Prezydentowa Mościcka. Wśród delegatek wyróżniały się ślązaczki, w malowniczych strojach ludowych. Był to Śląski Związek Polek, który przystąpił gremjalnie, jako oddział, do Zw. Pr. Obyw. Na czele delegacji stała senatorka Bramowska, zasłużona działaczka z czasów ucisku i powstań śląskich, świetna mówczyni, której audytorjum urządziło gorącą owację.

Obrady rozłożono na cały szereg działów, jak: opieki nad dzieckiem, spraw kobiecych, wychowania obywatelskiego, zagraniczny, gospodarczy, kultury i piękna i t. p.

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet liczy dziś prawie 40 tysięcy członkiń, zgrupowanych w 360 oddziałach, na całym obszarze Rzeczypospolitej; obecnie utworzono oddział nawet w Gdańsku.

Związek uznaje, jako najpilniejszą potrzebę, jaknajważniejsze wyrobienie polityczne i społeczne kobiet, przygotowanie ich do wzięcia wydatnego udziału w pracy państwowo-twórczej, w myśl ideologii Marszałka Piłsudskiego i realizacji jego programu: wyścigu pracy. W tym celu zmobilizować należy wszystkie młode i zdolne do pracy obywatelskiej siły.

W zakresie praw kobiet, Związek rozwija energiczną działalność dla ochrony kobiet, zwiększenia kadr policji kobiecej, dopuszczenia kobiet do sądownictwa, do sądów pracy i do funkcji sądów przysięgłych. Dalej Związek propaguje równość w pracy: dopuszczanie kobiet do wszystkich wyższych stano-

wisk, do powiększenia liczby kobiet w ciałach ustawodawczych i samorządach, a także zasadę równej płacy, za równą pracę.

Ze sprawozdań oddziałów prowincjonalnych widać planową i wyteżoną działalność w zakresie wszystkich działów prac. Obok działalności politycznej, oświatowej i wychowawczej, członkinie Związku nie zaniedbują pracy gospodarczej. Duża liczba delegatek zdawała sprawę z imprez gospodarczych i wytwórni, zastosowanych do sytuacji i właściwości danej okolicy. Wydział zagraniczny zajmuje się sprawą ochrony kobiet na emigracji, propagandą kultury naszej zagranicą i bierze udział w międzynarodowych związkach kobiecych.

Obszerne sprawozdania z działalności i programy prac wygłosiły kierowniczki wydziałów: posłanka Waśniewska — wydział spraw kobiecych; Z. Śliwińska — wydział wychowania obywatelskiego; H. Jaroszewiczowa — wydział opieki nad matką i dzieckiem; Szelałowska — wydział spraw zagranicznych; H. Ceysingerówna — wydział prasowy; senatorka Daszyńska-Golińska — wykład o sytuacji gospodarczej; p. N. Steinowa — wydział gospodarczy; p. Janina Strzelecka — wydział kultury i piękna, obok propagandy higieny i piękna, prowadzący teatr dla dzieci „Jaskółkę“, który obecnie obejmuje swą działalnością i prowincję.

Po obradach nastąpiły wybory do Zarządu, do którego weszły panie: Zofja Moraczewska — przewodnicząca, dr. Dłuska, W. Drzewiecka, N. Greniewska, dr. Hubicka, H. Jaroszewiczowa, posłanka Jaworska, Z. Ostromecka, M. Roszkowska, L. Śliwińska, oraz kierowniczki wydziałów.

Zjazd postanowił nadać honorowe członkostwo Związku pani Prezydentowej Mościckiej i pani Marszałkowej Piłsudskiej.

JAK PRACUJĄ PEWIANKI.

Pory wiosenna i letnia sprzyjają zjazdom, to też mamy stale do zanotowania te walne sprawozdania z działalności organizacyj.

W ubiegłą niedzielę zjechały do stolicy delegatki Kół prowincjonalnych Przystosowania Wojskowego Kobiet: pewianki, jak się w skróceniu same nazywają te miłe, dzielne niewiasty wojskowe.

Wielka ilość stowarzyszeń kobiecych tworzy Komitet Stołeczny Przystosowania Kobiet do Obrony Kraju. Organizacja ta ma za zadanie przygotowanie szerokich rozgałęzień tej obrony na



Poświęcenie Domu Matki i Dziecka.



Przysposobienie wojskowe w obozie letnim.

wypadek jej konieczności, a więc pomoc materialną i opiekę nad rodzinami wojskowych, działalność sanitarną, przygotowanie kadr kobiecych, gotowych do zastąpienia, na różnych polach pracy, powołanych do szeregów mężczyzn i t. p.; samo zaś Przysposobienie wojskowe ćwiczy karne szeregi młodych dziewcząt, które, na wypadek wojny, zdolne będą objąć służbę pomocniczą w armji, pocztę, telefony, pomoc sanitarną, służbę łączności i t. p., w tym celu odbywają się ćwiczenia i prace w hufcach i w specjalnych obozach letnich.

Przysposobienie wojskowe ma jednak cel istnienia nie tylko na wypadek wojny. I w czasie pokoju, nawet najdłużej trwającego, nawet, jak to w swym referacie na zjeździe zaznaczyła p. komendantka Wittekówna, gdyby wogóle wojny w ciągu całego życia dzisiejszych pewianek nie było, ćwiczenie ich w karności, sprawności fizycznej, punktualności i zrozumieniu obowiązków obywatelskich przyniesie zawsze pożytek im i ich otoczeniu. Młodzieńczy entuzjazm, rozpęd siły życiowej przetwarza się w czyn i w twardo spełniany, hartujący charakter obowiązek. Obowiązek ten pojęty jest w organizacji ściśle i surowo. Zaznaczyła to wielokrotnie pani komendantka, która, podnosząc pracę w kołach, skrytykowała jednak niektóre z nich za brak idealnej punktualności w pracy. Pod hasłem tej punktualności odbyły się i obrady, zaczynane i kończone podług zegarka, co do minuty.

Bardzo ciekawe były sprawozdania Kół, które rozwinęły intensywną pracę, przygotowując się do wielkiego zlotu wszystkich kół w 1932 r. W pracy tej zaznaczają się stale dwa poważne braki: lokali na ćwiczenia zimowe i siedziby kół, oraz funduszy na broń małokalibrową. Pomimo tych niedostatków, Przysposobienie ma duże wyniki pracy. Podczas ćwiczeń w obecności p. Prezydenta w Gostyninie, Koło Płockie wyróżniło się świetną sprawnością i wyglądem, które zwróciły uwagę pana Prezydenta. Z innych Kół wyróżniono sprawozdania krakowskiego, łódzkiego i słonimskiego. Organizacja P. W. K. posiada piękny sztandar, o barwach piechoty; sztandar ten otrzymują Koła w miarę zasług w pracy. Pierwszy sztandar, ufundowany ze składek i sprzedaży gwoździ, na których wyryte są nazwiska ofiarodawców, otrzymało w rokueszłym Koło Warszawskie; w tym roku, drugie z kolei, otrzyma swój sztandar Koło Krakowskie. Wręczenie i wbijanie gwoździ odbędzie się uroczyście w Krakowie.

Przysposobienie wojskowe kobiet liczy 10 tysięcy członkiń, jest to bardzo niewiele, w porównaniu do liczebności podobnych organizacji kobiecych u naszych sąsiadów (np. w Bolszewji 700 tysięcy!); jednakże komenda naczelna organizacji uważa, iż lepiej jest kłaść nacisk na jakość kadr, niż na ich ilość.

Dąży więc do powiększenia tej ilości raczej stopniowo, dobierając zato najstaranniej materiał pod względem sprawności fizycznej i zalet moralnych.

PRZECIEŻ KOBIEТЫ MUSZĄ JEŚĆ!

Bezsprzecznie, w Anglii jednak wolno im jeść tylko w domu!

Kobieta w parlamencie, trudno, czasy Mrs. Pankhurst, aresztowanej i popychanej przez policję, minęły bezpowrotnie, ale kobieta sama w restauracji, shoking!

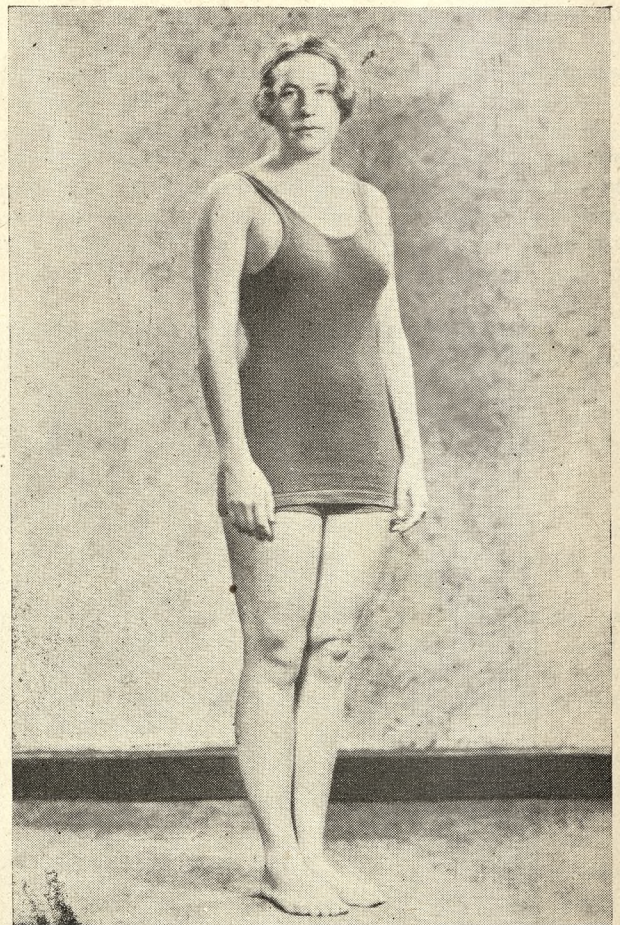
Większość lokali gastronomicznych w Anglii nie wpuszcza kobiet bez towarzystwa męskiego, inne znów zakłady pozwalają kobietom łaskawie zjeść befszytk, ale nie podadzą doń za nic w świecie szklanki wina lub portera.

Sprawa ta leżała długo w zapomnieniu (były ważniejsze!), aż wkońcu zebrały się przedstawicielki szesnastu wielkich zrzeszeń kobiecych i zwróciły się do rządu z kategorycznym żądaniem zniesienia idjotycznego obyczaju.

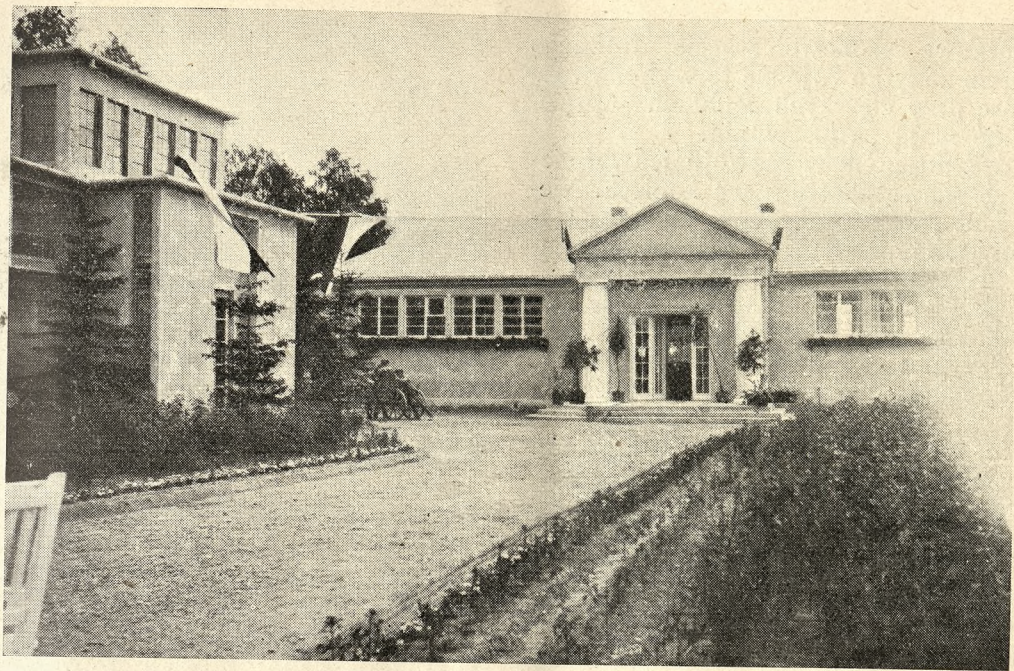
Jest to coś, w co trudno uwierzyć, ale co doskonale ilustruje paradoks, że Anglja jest najpostępowszym i najkonserwatywniejszym krajem jednocześnie.

PLYWANIE, TO ZDROWIE.

Pani Marta Norelius, dawna czempionka na zawodach olimpijskich, obecnie czempionka zawodowa, została podczas tygodnia pływackiego w Ameryce uznana, jako wzór pięknej budowy i zręczności pływackiej, jako „idealna pływaczka“.



Marta Norelius.



Dom kursów jedwabniczych. Na lewo pawilon tkactwa jedwabnego.

HODOWLA JEDWABNIKÓW CZY KOPALNIA ŻŁOTA

Kawał ziemi uprawnej, na którym zielenią się długie szeregi sadzonek. To szkółka morwowa. A pośrodku placu kilka pawilonów, olśniewających białością. Przewieziono je w tym roku z wystawy poznańskiej do Milanówka i pobudowano na stałe, uzupełniając częściami murowanymi. Jasno, czysto, słonecznie i wesoło. To jest pierwsze wrażenie, jakie sprawia Centralna Doświadczalna Stacja Jedwabnicza w Milanówku pod Warszawą.

— Aha! więc znowu o jedwabnictwie krajowym! — westchnie niejednen sceptyk. — Przecież to mrzonka! Wierzę, że morwę można w naszym klimacie hodować, ale co się stanie z biednymi gąsienicami jedwabnika, kiedy drzewo morwowe obsiądą. Zmarzną w ciągu jednej nocy!

Otóż właśnie, że nie zmarzną, bo się ich wcale „na zieloną trawkę“ nie wypuszcza, ale karmi w tak zwanej „wychowalni“, w czystym i widnym pawilonie, o równej temperaturze — od 16 do 18 stopni — na półkach, pokrytych papierem.

Wnętrze takiej „wychowalni“ wygląda, jak jakaś osobliwa kolekcja muzealna. Gąsienice jedwabnika dosłownie mieszkają na t. zw. zdejmnikach, czyli między arkuszami drobno podziurkowanego papieru. Wielkość tych otworów zastosowana jest do wzrostu gąsienic. Najmłodsze pokolenie wygląda, jak łebki od szpilek; najstarsze, dobrze utuczone, dochodzi do rozmiarów wskazującego palca.

Pięć razy dziennie w równych odstępach czasu odbywa się karmienie. Kładzie się liście morwowe na górnym czystym zdejmniku, a usuwa się dolny, zanieczyszczony. Gąsienice, zwabione światłem, napływającym przez otwory, wydobywają się na wierzch i zjadają liście. Za parę godzin powtarza się to samo. Nowy arkusz papieru — świeży transport

liści. Gąsienice są bardzo żarłoczne. Uczują od 7 rano do 11 wieczorem. Tak przynajmniej głosi „jadłospis“, powieszony na ścianie „wychowalni“.

Po miesiącu takiego tuczenia gąsienice zaczynają z siebie wysnuwać oprzędy. Aby je miały do czego przyczepić, dostarcza się im t. zw. „oprzędników“, czyli suchych gałązek, powiązanych w pęczki. Budując oprzęd, gąsienica wydziela z gruczołu przedniego od 800 do 1400 metrów nitki jedwabnej, czyni przytem koło miliona poruszeń łebkiem.

Oprzędy są pokryte warstwą waty jedwabnej, czyli t. zw. „oplątem“, który po zdjęciu można użyć do napychania poduszek, lub watowania kołder. Chcąc otrzymać jedwab z oprzędów, zabija się uspio- ne wewnątrz poczwarki zapomocą pary. Poczem się je suszy i przechowuje aż do czasu wysyłki.

W krajach, gdzie jedwabnictwo jest bardzo rozwinięte, specjaliści skupują oprzędy świeże, po cenie ustalonej corocznie na rynkach Marsylji, Medjolanu, Szanghaju. U nas skup oprzędów zorganizowany jest w Centralnej Stacji Jedwabniczej. Cena przeciętna za kilogram dobrze wysuszonych oprzędów wynosi 25 złotych. Wedle obliczeń kierowników Stacji i autorów książeczki „O hodowli jedwabników“, państwa Witaczków, jeden mórg ziemi pod uprawą drzew morwowych może dać rocznie tyle, co dochód z dziewięciu morgów żyta. Dodajmy, że cała praca przy wychowie gąsienic trwa sześć tygodni i to w okresie, kiedy w polu jest najmniej roboty (od połowy maja do końca czerwca). Przytem jest to zajęcie tak łatwe i niewymagające wysiłku, że wykonywać je mogą zarówno dzieci, jak starcy.

Hodowla jedwabników jest zatem jakby stworzona dla kraju małorolnych o szybkim przyroście ludności, dla kraju takiego właśnie, jak Polska. Sta-

nowić może dodatkowe sezonowe zajęcie drobnego rolnika, przy którym zużytkowuje się te wykonawcze siły rodzinne, które przy cięższych robotach polnych i gospodarskich nie mają zastosowania.

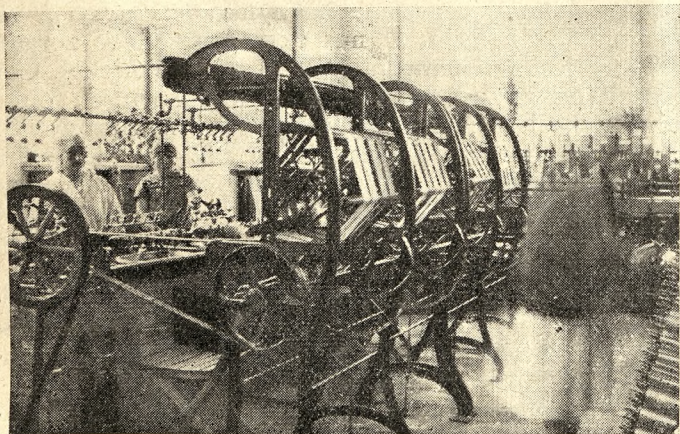
Momentem decydującym w rozwoju jedwabnictwa u nas stanie się niewątpliwie praca kobieca. Nie tylko dlatego, że hodowla jedwabników wymaga staranności, pieczołowitości, drobiazgowości nawet, właściwej lekkim a dokładnym rękóm kobiecym, ale i dlatego, że ten rodzaj przemysłu domowego jest jednym z tych rzadkich źródeł dochodowości, które w budżecie rodzinnym mogą zaważyć wiele, a nie wyrwywają kobiety-matki i gospodyni z jej środowiska.

Odnosi się to, rzecz prosta, do osób, mieszkających na wsi, w siedzibach podmiejskich lub w małych miasteczkach, wszędzie, gdzie jest kawałek ziemi pod zasadzenie plantacji drzewek morwowych, choćby wzdłuż drogi, czy parkanu. Każda ziemianka, gospodyni, małorolna, nauczycielka wiejska, „pani z miasta“, posiadająca ogródek własny przy domku na Żoliborzu, Burakowie, czy innej kolonji, może zorganizować u siebie jedwabnictwo na małą skalę. Wychów gąsienic odbywać się może na etażerze, umieszczonej w widnym pokoju mieszkalnym o równej temperaturze. Jeżeli pani ma dzieci, karmienie i obsługiwanie tej podręcznej menażerji może być dla nich miłą i pouczającą rozrywką, wkraczającą poniekąd w dziedzinę praktycznego przyrodoznawstwa.

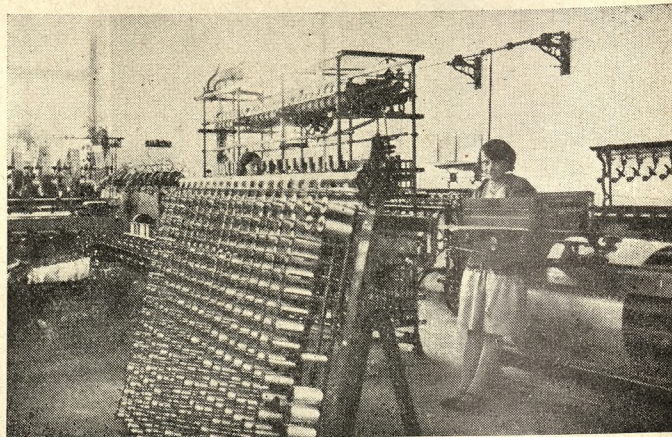
Tylko, jak wszędzie, tak i tu, strzeżmy się dylantyzmu. Jest on wrogiem wszelkiej owocnej pracy, źródłem wielu zawodów, niespodzianek i strat materialnych.

— Ile kosztuje jedno jajo jedwabnicze? — To zapytanie, skierowane przez jakąś kandydatkę na hodowczynię jedwabników do Centralnej Stacji Jedwabniczej, świadczy, że nawet wśród najbardziej zapalonych zwolenników jedwabnictwa ten teren wytwórczości jest zarówno ziemią obiecaną, jak i nieznaną.

Chcąc ją osiąść, trzeba mieć fachowe przygotowanie. Sześciotygodniowe kursy praktyczne w Milanówku mają na celu wyszkolenie całego zastępu instruktorów i instruktorek, których zadaniem będzie szerzenie po całym kraju racjonalnych zasad uprawy morwy i hodowli jedwabników. Pozatem istnieją broszury ilustrowane, podające jasne i dokładne wskazówki i informacje w tej dziedzinie.



Jedyna w Polsce rozmotalnia oprzędów.



Mechaniczna suszarnia jedwabiu.

Ciekawym jest fakt, że w Polsce, począwszy już od XVIII wieku, spotykamy się z próbami hodowli jedwabników i przeróbką otrzymanego surowca na tkaniny. Księżna Ogińska prowadziła taką hodowlę w Siedlcach, hr. Mostowski w Tarchominie. Dzisiaj zmieniły się warunki. To, co było niegdyś kulturalnym eksperymentem sfer posiadających, może stać się dziś niekoniecznie złotą żyłą, ale złotym piaskiem drobnych ubocznych dochodów dla kobiet i rodzin, dla szerokich warstw inteligencji podmiejskiej i proletariatu wsi.

S. P. O.

NIEWYKORZYSTANE ZAWODY

Zbliża się wielki dzień! Dzień triumfalnego wyzwolenia. Skoncentrowanie radości, wiary we własne siły, twórczego zapалу, dumy zdobywców.

Bo zdobywcami są wszyscy ci, za którymi zamkną się wrota ukończonych uczelni. Niezależnie od tego, czy będą to szkoły wyższe, czy szkoły zawodowe, czy też, poprostu, szkoły średnie, których ukończenie jest nieomal że najpromienniejszą chwilą w życiu każdej jednostki — chwilą wyzwolenia z pod przymusu kroczenia utartą ścieżką konieczności, chwilą zadokumentowania „dojrzałości“, uprawniającej do samodzielnego obrania zawodu. O absolwentkach szkół wyższych i szkół zawodowych mówić nie pora. Obraly już drogę życia i kroczą po niej będą aż do końca, borykając się z trudnościami źle obranego zawodu, lub radośnie doróbkami umiłowanej pracy twórczej. Nie pozostaje nam nic więcej, jak powitać je na tym nowym szlaku serdecznym życzeniem „Szczęść Boże!“.

Olbrzymie zastępy maturzystek i maturzystów, te stada piskląt, co spróbują w najbliższych dniach swych młodych skrzydeł, muszą być ośrodkiem naszego najserdeczniejszego zainteresowania — im to należą się od najbliższych i od całego społeczeństwa pomoc i uświadczenie.

Idąc po tej linji, „Bluszcz“ zamieścił w swoim czasie szereg artykułów pod ogólnym nagłówkiem „Wykształcenie zawodowe“, omawiając wyczerpująco ważniejsze ośrodki oświatowe, dając poniekąd skoncentrowany materiał, ułatwiający dotarcie do źródła fachowej wiedzy, z działów:

nauki i sztuki; agronomji, gospodarstwa domowego, ogrodnictwa, pszczelnictwa, jedwabnictwa i t.p.; sztuki stosowanej i rzemiosł; wychowania fizycznego, pielęgniarstwa, ochroniarstwa i t. p.; biurowości (kursy handlowe, stenografja).

Podstawowe zorientowanie się w możliwościach, jakie mamy do rozporządzenia, jest bezsprzecznie rzeczą pierwszorzędną wagi; jednakże najważniejszym bodaj jest fakt rozumnego wyboru zawodu, obliczenia wszelkich „za“ i „przeciw“, obliczenia się z własnymi siłami, z siłami materialnymi, fizycznymi, a przede wszystkim — z talentem.

Podwaliną radosnej, twórczej pracy jest szczerze, głębokie zainteresowanie i umiłowanie dziedziny, w której mają się zogniskować wysiłki twórcze całego życia. Dlatego też, obierając zawód, nie wolno iść tylko za „doświadczoną“ radą tych i tamtych, którzy, „znając życie“, wiedzą jakoby, z jakiego zawodu łatwiej wycisnąć maximum korzyści przy minimum wysiłku, a trzeba, nie bagatelizując prawdziwie mądrej, życzliwej i doświadczonej rady, przede wszystkim wniknąć w siebie i obrać drogę właściwą.

Sprawa ta jasna i łatwa tam, gdzie w grę wchodzi wyraźnie zarysowane zdolności, lub zamiłowanie, staje się prawdziwie trudnym do rozwiązania problemem, jeżeli zawód wybieramy „na zimno“. Wówczas to trzeba ważyć na szali „za“ i „przeciw“ i, co ważniejsze, trzeba dużo rozważyć, aby nie zbłądzić u progu życia. Rola rodziców i opiekunów, rola osób, które cieszą się zaufaniem danej jednostki, jest tutaj w najwyższym stopniu odpowiedzialna: utrzymać się na stopie doradcy bez wywierania presji, wyczuć, zakreślić odpowiednią linię lotu — oto nasze zadanie, zadanie nadwyraz trudne, w którego wykonanie musimy włożyć pełnię serdecznego zainteresowania i zrozumienia ważkości chwili.

O ile człowiek, kroczący po właściwej linii, jest w stanie — niezależnie od tego, czy do małych, czy do wielkich czynów los go przeznaczy — przejść przez życie pożytecznie, a w pracy swej znaleźć źródło zadowolenia, równowagi i radości życia, o tyle, postawiony przy nieodpowiednim warsztacie, będzie znużonym galernikiem, który zużywa się, marnuje i wiecznie pozostaje w tyle. Niema nic smutniejszego nad przymus, lub obojętność, wnoszone w krąg pracy zawodowej, są to bowiem czynniki destrukcyjne, o sile i działaniu trucizny moralnej.

Obierając zawód, trzeba liczyć się poważnie z warunkami, w jakich zdobywać się będzie uprawioną wiedzę. Przedewszystkiem zerwać z bezkrytycznym pędem ku otwartym dzisiaj dla wszystkich, zaopatrzonych w świadectwa dojrzałości, wrotom wyższych uczelni, jakby dla ludzi, nieposiadających dyplomów uniwersyteckich, brakło pola do pracy pożytecznej, wartościowej, twórczej i dochodowej. Studja uniwersyteckie, podjęte bez wybitnych zdolności w danym kierunku, w braku jakiegokolwiek pomocy materialnej z zewnątrz — to wysiłek, który musi się skruszyć o tysiące trudności, napotykanych przez długie lata nauki, połączonej z pracą zarobkową, co rzadko kiedy godzi się ze sobą bez poważnej wzajemnej szkody. Dlatego też młodzież powinna i musi doceniać zawody niewykorzystane, zawody, w których może, zgodnie ze swymi upodobaniami, wyspecjalizować się w najkrótszym stosunkowo czasie i znaleźć na tej drodze pracę zarobkową, zapewniającą jej egzystencję.

Zawodem takim, ściśle kobiecym, jest pielęgniarstwo, które zapewnia każdej wyspecjalizowanej pielęgniarce, higienistce, fachowej wychowawczyni niemowląt i dzieci pracę zarobkową natychmiast po ukończeniu szkoły zawodowej. Stały brak pielęgniarek jest podkreślany z roku na rok, a szkoły mamy we wszystkich większych miastach polskich i to szkoły, postawione doskonale!

Prócz ogólnie znanych: Szkoły Pielęgniarstwa Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, Wyższej Szkoły Pielęgniarstwa Polskiego Czerwonego Krzyża w Poznaniu, Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa, Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarstwa i Higjenu w Krakowie, Instytutu Higjenu Państwowej (pielęgowanie dzieci) w Warszawie — należy zwrócić uwagę na specjalną szkołę profesora Groera (Lwów), wzorowaną na sławnej szkole wiedeńskiej profesora Pirqueta, który kształcił zawodowo wychowawczyni dzieci, przygotowane nie tylko do fachowego pielęgowania niemowląt, ale i do fizycznego, moralnego i umysłowego kierowania dzieckiem do lat szkolnych.

Mówiąc o wyborze zawodu, który zapewnia po ukończeniu uczelni pracę zarobkową, trudno pominąć milczeniem założone w 1926 r. „Żeńskie Kursy Techniczne“ (Warszawa, Hoża 88), które w r. b. dają już trzeci zastęp absolwentek.

Śluchaczki Żeńskich Kursów Technicznych studjują teoretycznie i praktycznie działy budownictwa: architektonicznego, drogowego, kolejowego, wodnego (meljoracyjnego).

Ukończenie Kursów Technicznych uprawnia do zajmowania stanowiska techników pomocniczych w biurach państwowych, samorządowych i prywatnych i dotychczas, z powodu braku fachowych pracowniczek w tej dziedzinie, zapewnia natychmiastowe otrzymanie posady. Ukończenie tych kursów jest tem dostępniejsze, że wykłady odbywają się w godzinach wieczornych, więc jednostki zdolne i sprężyste mogą równocześnie mieć jakąś dzienną pracę.

W. N.

WYRABIAMY WŁASNE WINA OWOCOWE

Najpopularniejszym na świecie przesądem jest twierdzenie, że dobre wino otrzymać można jedynie z soku winnego grona, a więc wykluczonym jest, aby w naszym kraju, nie produkującym winogron na dużą skalę — można było wyrabiać dobre wina.

Przesąd ten ostatnimi czasy stracił trochę na aktualności, boć przecie coraz częściej konsument, pijąc smaczne wino, dowiaduje się ze zdumieniem, że to nasze własne. Są to jednak wypadki sporadyczne, naogół jeszcze do tej fabrykacji odnosimy się sceptycznie: tak silnie mamy zakorzenione przekonanie, że rzecz dobrą może zrobić tylko zagranica.

Coraz bardziej wchodzące w użycie wina owocowe, wyrabiane przez nasze fabryki, do pewnego stopnia spopularyzowały ideę niedrogich win krajowych; jednakże jeszcze z niedowierzaniem myślimy, że my sami, z własnych naszych płodów sadowniczych możemy mieć nie tylko dobre, smakowite wina,

ale produkować je w kilku odmianach, i nawet osiągnąć stare poważne butelki, zastępujące w zupełności dobre wina zagraniczne.

Musimy tylko pozbyć się przesady, że jedyną jagodą, nadającą się do wyrobu dobrego wina, jest winogrono. Z każdej jagody i z każdego — byle dojrzałego — owocu zrobić można doskonałe wino.

Pierwszym jednakże warunkiem jest wyrabiać je w roku słonecznym, tylko wówczas bowiem owoc posiada duże ilości cukru i smak przedni.

Bo wino — to poprostu słońce, ujarzmione i przechowywane w butelkach — dlatego wytwórca wina musi się liczyć z rokiem, w którym przystępuje do produkcji.

W pierwszym rzędzie mamy na myśli produkcję na małą skalę, na własny użytek, z własnych owoców, które ciągle jeszcze tak lekceważymy, a które przy zaradności obdarzyć nas mogą wszystkimi rozkoszami, jakie do umilenia życia są pożądane.

Nie mam bynajmniej zamiaru podawać tutaj recepty, jak się robi wina, każdy bowiem zainteresowany znajdzie ją w specjalnych broszurkach, jak np. „Wina owocowe” (wyd. „Życie praktyczne”), skąd i niżej podpisana czerpała swą mądrość i po kilku próbach doszła do znakomitych rezultatów w wytwarzaniu kilku przednich odmian wina.

Pierwszym więc, prawie niezastąpionym owocem w wyrobie win, są jabłka. Na ten cel musimy wybrać gatunki winne, letnie, lub wczesne jesienne i kompletnie dojrzałe. Składamy je na stertę, aby trochę przywiędły, przez kilka dni, poczem, nie obierając, przekrawamy na ćwiartki i mielimy na maszynie; miąższ ten przepłukujemy w wodzie i raz jeszcze mielimy, wyciskając w ten sposób całą zawartość soku z owocu.

Soku otrzymanego z jabłek (w przeciwieństwie do innych owoców) nie mieszamy z wodą, lecz zaprawiamy cukrem i poddajemy fermentacji, jak każde wino.

Jabłecznik — to jedno z wybornych win; rywalizować z niem może jedynie porzecznik, który jest niezastąpionym winem czerwonym, w szczególności, gdy pomieszymy go z jagodniakiem.

Jagodniak zaś — to specjalne wino, którego niewolno nie mieć, posiada bowiem znane zalety lecznicze, nie dające się niczem zastąpić. Jagodniak w do-

mu — to lekarstwo niezbędne, no i tak wyborne, że chyba jedyne, jakie przyjmujemy z prawdziwą przyjemnością.

Truskawczak — to niezastąpione wino deserowe, o subtelnym smaku i niesłychanie wytwornym zapachu. Polecam ten trunek wszystkim smakoszom i amatorom wykwintnego wina.

Oczywiście, każde wino im starsze, tem większej nabiera wartości; należy więc z każdorocznej fabrykacji zlać kilkanaście (czy kilkadziesiąt) butelek, zależnie od wielkości produkcji, opatrzeć datą i przechować; po kilku latach będziemy się cieszyć pierwszorzędnym winem, tem miłszem, że samodzielnie wyprodukowanym.

Dodać muszę, że wytwarzane przez nas wina nie zawierają zgoła żadnych chemikaliów, są więc bezwzględnie nieszkodliwe dla zdrowia, co niezawsze da się powiedzieć o trunkach kupnych.

Sad więc, ten nasz uroczy przyjaciel, da nam dochód, zdobędziemy się tylko raz na inwestycję, konieczną do przetwarzania jego owoców, co jest bez porównania korzystniejsze, niż zbywanie ich w stanie surowym. Gdy raz zorganizujemy potrzebny warsztat do przetwarzania owoców sadu, przekonamy się, jak marnotrawną prowadziliśmy gospodarkę i dowiemy się, że niema takiego owocu, którego nie możnaby do ostateczności wykorzystać.

Np. truskawki: największe się sprzedaje, średnie — smaży, drobne używa na wina właśnie, lub na marmelady, po uprzednim usmażeniu soku.

Wina owocowe — to jeden z najcenniejszych produktów, jaki przy racjonalnem zorganizowaniu przetworów da nam sad, źródło zamożności sąsiadów naszych czechów, u których posiadacz dziesięciu morgów ziemi (w tem dwóch sadu), jest zamożnym człowiekiem.

My posiadamy tak samo ziemię i ręce do pracy. Dwory powinny dać dobry przykład. Sady nasze — to bogactwo, marnujące się rozrzutnie i bezpożytecznie.

Sady nasze czekają na energiczne, pracowite i pełne zdrowej inicjatywy ręce kobiece.

I miasta nasze czekają na zdrowy, świeży i własny, nie od sąsiada sprowadzany, produkt: susze warzywne i owocowe, marmelady, konfitury, soki, wina i miody.

mar.-mor.

„Higjena i porządek w naszym domu”

Atrakcyjny ten tytuł nosi najnowsza — już 76-ta z kolei — książka wydawnictwa „Życie Praktyczne”, utrzymana w tonie wybitnie nowoczesnych wymagań. Porusza ona cały szereg drobnych spraw, powodujących chaos i bezład w naszych domach, w następujących działach:

Wstęp. Dom — podstawa egzystencji. Powietrze, światło: wietrzenie, opatrywanie okien, zapachy kuchenne. **Walka z kurzem:** Podłogi, ściany, firanki, meble. **Nasze mieszkanie:** sypialnia, jadalnia, pokój dziecienny, dziecko, łazienka, kuchnia, piwnica. O robakach. Uśmiech domu — kwiaty. **Higjena gotowania. Bielizna i ubranie:** bielizna stołowa, bielizna osobista, bielizna kuchenna; czystość szaf i sukien. **Służba domowa. Pieniądze — rozsadnikami zarazy. Myjmy owoce. Zakończenie.**

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, PL. ZAMKOWY 9. KONTO P.K.O. Nr. 170

Komplety i poszczególne książki „Życia Praktycznego” do nabycia tamże.

C E B U L A

Coraz silniej utrwalające się przekonanie o wadliwości naszego odżywiania, wynikające ze smutnego doświadczenia i jeszcze smutniejszej rzeczywistości, zwraca uwagę największych zwolenników pokarmów mięsnych na jarzyny i owoce, których zbawienny wpływ na organizm ludzki wyraźnie się zaznacza.

Spożywanie dużych ilości surowych i gotowanych jarzyn i owoców tak jest obecnie przyjęte, że przerażającą anomalją wydaje się tłusta kuchnia niedawnej przeszłości, oparta prawie wyłącznie na potrawach mięsnych i ekstraktach, zwanych zapami, suto zaprawianych masłem, śmietaną i żółtkami, wywołujących nie tylko podziw zagranicą dla odporności polskich żołądków, ale i cały szereg dolegliwości, które wynikały w przeładowanym organizmie ze złej przemiany materji. Ludziska, zgnębieni zbyt wcześnie występującymi objawami artretyzmu, sklerozy i innych, na tem tle powstałych chorób, chętnie naginają się do nowych metod, szukają w nich ratunku i przeciwdziałania złemu. Jak dawniej patrzeć nie chcieli na sałaty, pogardliwie zwane „zielskiem“, tak dziś zjadają je pod różnemi postaciami, spodziewając się znaleźć w nich zbawienne odrodzenie.

Kto hołduje pokarmom roślinnym, na pierwszym planie powinien postawić cebulę, jako smaczną potrawę i przyprawę. Od niepamiętnych czasów znana i używana, arystokratka starem pochodzeniem, roślina ta służyła nie tylko, jako pożywienie; dowiadujemy się bowiem z historii Niniwy, że szeregi płaczków, idących za pogrzebem, wykorzystywały jej łzawnicze własności, aby wylewać strumieniem łez za nieboszczykiem. Jest to pierwsza wzmianka, jaka spotykamy w historii zamierzchłej przeszłości o roślinie, zwanej cebulą.

Jej własności lecznicze wkrótce zwróciły na nią uwagę, a z czasem stała się niezastąpioną w wielu chorobach. Coraz częściej czytamy o cudownych uzdrowieniach, zawdzięczanych cebuli w czasach, kiedy trucizny chemiczne, lekarstwami zwane, nie były jeszcze rozpowszechnione, a ówczesni Eskulapi zadowolniali się aplikowaniem pacjentom leków roślinnych. Wskutek moczopędnych właściwości wszelkich gatunków cebuli, stanowi ona znakomity środek na wydalanie z organizmu zapomocą nerek trucizn, zakażających krew. Pradziadom naszym znane było dobrze to działanie cebuli i czosnku, to też po obfitych libacjach przehulanych nocy, aby przeciwdziałać ich zgubnym następstwom, raczyli się, skoro świt, miską cebulowej zupy. Używano także okładów z cebuli na rozmiękczenie formujących się wrzodów, dla szybszego ich pęknięcia i oczyszczenia z materji.

Cebula nie przestaje być uważana i dzisiaj jako środek zabezpieczający od wielu chorób, a najnowsze wwniki badań lekarzy, poświęcone rakowi, stwierdzają, że spożywanie cebuli wstrzymuje jego rozwój. Jakkolwiek nie są to jeszcze pewniki, tylko przypuszczenia, cebula surowa zwłaszcza, powinna zająć pokaźniejsze miejsce w naszych jadłospisach, tembardziej, że jest smaczna i ogólnie lubiana. Jedyną słabą stroną spożywania jej to niemiły smak i zapach pozostający w ustach. Wprawdzie łatwo na to znaleźć lekarstwo bo kilka ziarenek upalanej kawy, zgryzionych po zjedzeniu cebuli, usunie jej

zupełnie, a ręce umyte po krajaniu cebuli w fusach od kawy, ztracą jej nieprzyjemny odór.

Cebula znalazła szerokie zastosowanie w kuchni, jako pokarm i przyprawa. Surowa, pokrajana w talarki, lub drobniutko posiekana, służy za dodatk do zakąsek, sałat, pomidorów, kawioru etc. Smażona, dodana do sosów, befsztyków, kotletów i t. p., smak podnosi. Z duszonej robi się bardzo dobrą zupę, a doskonałą jarzynę otrzymujemy z dużych cebul delikatnych odmian, faszerowanych mięsem, podawanych z sosem, jak duszona kalarepka. Niema prawie potrawy, która mogłaby się obejść bez cebuli.

Jednym z lepszych, choć mało znanych dodatków do pieczystego jest marmelada z cebuli, robiona w sposób następujący: cienko posatkowaną cebulę dusi się w maśle, na małym ogniu, pilnując, aby się nie zrumieniła; dodaje szczyptę najpiękniejszej maki, rozbiera paroma łyżkami dobrego rosółu, doprawia solą, pieprzem, odrobiną cukru i jeszcze gotuje powoli. Wkońcu przeciera przez sito, zaprawia gęstą masę paroma żółtkami i podaje do pieczonej cielęciny, jako delikatną przystawkę.

Mówiąc o cebuli, niepodobna pominąć właściwości soku cebulowego, pod którego działaniem ustępują najbardziej zastarzałe zapstrzenia od much z luster, szyb, obrazów, ram złoconych i mebli.

Zważywszy różnorodne korzyści, które przynosi nam cebula widzimy, jak słusznie cieszy się ona popularnością zarówno w kuchni, jak w gospodarstwie domowym, i dlatego stawiamy ją w rzędzie najpożyteczniejszych warzyw. J. S.



KOŁDUNY.

Aby kołduny były dobre, należy na nie brać mięso kruche — od krzyżówki lub zrazowej, lecz nie polędwice, która jest zanadto miękka i kołduny z niej są lepkie. Łój bierzemy tylko nerkowy, najstaranniej oczyszczony z plew i żyłek. Najsmaczniejsze kołduny są z baraniny, w miastach jednak używają na nie przeważnie wołowiny, lub mieszają oba te mięsa razem. Na sześć osób starczy zupełnie — nawet przy dobrych apetytach — sześćdziesiąt deka mięsa, czyli właściwie czterdzieści deka mięsa i tyleż łożu. Łoju można nawet brać nieco więcej, niż połowę, a kołduny przez to będą delikatniejsze. Mięso i łój usiekać jaknajdrobniej tasakiem na desce; w ostateczności mię-

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA Dr. J. Świtalskiej

w Żegiestowie-Zdroju

poświęcony nowoczesnemu pielęgnowaniu zdrowia, urody, młodości — otwarty zostanie dnia 1.VII b. r.

Dr. J. Świtalska ordynuje od 1.VII b. r. 319

== Informacje: Dyrekcja Żegiestów-Zdrój. ==

so można przepuścić przez maszynkę, lecz łój musi być ręcznie krajany lub siekany, jeśli chcemy mieć kołduny kruche. Utrzeć na tarce dużą cebulę cukrową (ok. 15 deka). Wymieszać mięso, łój i cebulę na misce, osolić, popieprzyć, wsypać łyżkę utartego majeranku, wyrobić doskonale ręką, dolewając dwie do trzech łyżek bardzo zimnej wody (w zimie — śniegu). Porobić kulki, rozmiaru najmniejszego włoskiego orzeszka.

Tymczasem zagnieść ciasto z trzech ćwierci kilo mąki, dwóch żółtek, łyżeczki soli i takiej ilości wody, aby było nieco wolniejsze, niż na kluski krajane, czyli dawało się zlepiać po brzegach. Wycinać kieliszkiem małe krążki, na każdym kłaść po kulce mięsa, zaciskać mocno brzegi, aby przy gotowaniu nie popękały. Ciasto powinno być jaknajcieńsze i żadnych sznureczków, wałeczków i t. p. przy zaciskaniu robić nie należy, gdyż psuje to delikatny smak kołduna.

Na pięć minut przed podaniem wrzucić kołduny na osolony wrzątek, przykryć rondel pokrywą; po dwu minutach, gdy wypłyną, wyjmować durszlakową łyżką na salaterkę, obsypać tartą bułeczką, przykryć salaterkę pokrywą i natychmiast podawać. W wielu domach podają do kołdunów wygrzane talerze.

Kołduny gotuje się zwykle w dwóch porcjach, aby zanim biesiadnicy zjedzą pierwszą, druga gorąca mogła przyjść na stół. Wszelkie podawanie kołdunów w rosole, w barszczu, polewanie masłem, posypywanie serem i t. p. — jest inowacją, wprowadzoną w innych dzielnicach Polski: na Kresach północno-wschodnich, w ojczyźnie kołdunów, podają je tylko tak, jak tu opisałam. Z tej proporcji wyjdzie około dwóch kop (120 sztuk) kołdunów, które, im mniejsze, tem są lepsze. *Pani Elżbieta.*

Laboratorium Kosmetyków Higienicznych

Dr. J. Świtalskiej

Wysyłka za zaliczeniem, pocztowem katalogi gratis.

Warszawa, Krucza 31, m. 3.

320

DOBRE RADY

W tępieniu polnych myszy doskonale usługi oddaje specjalna pułapka polowa; jest to podłużne naczynie gliniane, polewane z zewnątrz, puste w środku, zaopatrzone u góry w mały okrągły otwór, a u dołu w wysuwane dno drewniane; pułapkę zakopuje się w ziemię tak, aby otwór zaledwie trochę z niej wystawał. Dla zwabienia myszy trzeba na spód wsypać trochę zboża, albo lepiej chleba krajanego w kostkę, obsmarzonego na słoninie. Myszy, które lubią wszędzie się wcisnąć, wpadają w ten otwór i więcej z niego wyjść nie mogą. Co parę lub kilka dni trzeba wyciągnąć pułapkę zapomocą żelaznego haczyka, zaczepionego za koniec szyjki i, wysunąwszy dno, złapane myszy potępić.

* * *

Krety, pozorne szkodniki, niszczące grzędy i klomby w ogrodach, oddają człowiekowi niezmierne usługi w walce z różnymi podjadkami, muszą być jednak koniecznie usuwane z ogrodów starannie prowadzonych. Można wylapać je w sposób następujący: garnek gliniany, głęboki, wewnątrz polewany, wkopać w ziemię tak, aby brzeg jego był narówni z ziemią, a wrzuciwszy weń żywego złapanego kreta, żywić go glistami. Przez to zwabiają się inne krety, które, z powodu ślepoty, łatwo wpadają do garnka i nie umieją się już z niego wydostać. Złapane trzeba codziennie wyjmować, pozostawiając zawsze jednego na dalszą przynętę; w taki sposób w krótkim czasie wylapiemy wszystkie krety, użytkowując je odpowiednio. Kto chce je wytępić, a futro użytkować, niech wystrzeże się topienia, bo futerko stanie się nie do użytku.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DISKRETYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ

295

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

W sprawie art. 141—142.

Artykuł: „Nazywajmy rzeczy po imieniu“, w którym Szanowna Autorka zarzuca ogółowi inteligencji brak odwagi wyciągania praktycznych wniosków ze swych wierzeń i przekonań, oraz brak uświadomienia religijnego i t. d. i t. d., dowodzi, że właśnie autorce brak uświadomienia życiowego; rozbudził on moc wspomnień z mego osobistego życia, które tu przytoczyć pragnę, właśnie „w imię nazywania rzeczy po imieniu“.

Nie będę rozpatrywała paragrafów 141 i 142, z punktu widzenia rzeczowego, gdyż to zupełnie wyczerpująco przedstawiła nam p. Łoźja Galicka. W artykule p. M. S. uderzyło mnie podkreślanie spędzania płodów, jako zbrodni, równającej się zabójstwu dziecka. Że to tak się nazywa prawnie, to mnie nie wkurza, lecz dziwi mnie ta nazwa w ustach kobiety.

Piszę wspomnienia z życia osobistego; zgóry przepraszając, jeśli będą nudne, nie chcę, aby były ckiwe; jednak to *zabijanie duszy dziecka*, to poruszenie ciężkiej zmyry mego dzieciństwa. Gorąco więc pragnę, aby wszystkie panie, dzielące przekonania pani M. S., raz jeszcze artykuł „Nazywajmy rzeczy po imieniu“ przemyślały, a może zmienią swój pogląd na te sprawy.

A więc, urodziłam się w Warszawie, jako szóste z kolei dziecko biednego szewca, mieszkającego w suterenie, mocno wilgotnej i ciemnej. Ojciec mój, jak nietylko szewc, lecz i zwykły śmiertelnik, lubił dość często zaglądać do kieliszka, a nieraz i do kart, co przy niewystarczającym zarobku sprowadzało nędzę do domu. Wreszcie ojciec przestał zupełnie palić i grać w karty, lecz biedzie końca nie było.

Najstarszy mój brat, młody, dobry i bardzo inteligentny chłopiec, nie mając możności korzystania ze szkoły, bo dawne to dzieje, musiał od najmłodsze dzieciństwa siedzieć na stołku po 12 godzin na uobę, pomagając ojcu dorabiać na skąpy i zawsze suchy kawałek chleba. Starsza siostra, jako 15 czy 14-letnia dziewczynka, od 9-ej rano do 9-ej, 10-ej, a często i 11-ej godziny wieczorem, w okresie sezonu, szła w magazynie za 4 rb. miesięcznie, mając silnie rozwiniętą biednicę. Drugi mój brat (lat 7—8), chłopiec dziwny, który wymagał specjalnej opieki i kierunku, pomagając wiązać „koniec z koncem“, chodził za turami, rozwożąc węgiel i zbierał rozsypane okruchy węglowe, często bowiem nie było za co kupić opału. Wszystko jednak nie wystarczało do karmienia tylu pustych żołądków dziecięcych. Trzeba było rozpocząć sprzedawanie gazet i właśnie temu dziecku, które wymagało specjalnej opieki i kierunku, przypadła w udziale ulica, jako czynnik wychowawczy.

I tych zarobków jednak było mało, gdyż przywędrowało 7-me dziecko. Biedne moje matczyśko, umiejące słabo czytać, a jeszcze słabiej pisać, lecz posiadające dużo wrodzonej inteligencji, postanowiło wziąć się do pracy zarobkowej, aby dzieciom swoim zbudować znośniejszą przyszłość: zaczęła roznosić gazety.

Nie wiem, czy Szanowna Pani M. S. zdaje sobie sprawę, co znaczyło przed laty 30-tu czy 35-ciu roznoszenie gazet, bo nie wiem, jak ta sprawa teraz wygląda, gdyż mieszkam na prowincji; lecz wtedy

wyglądało to tak: był rewir, obejmujący ulice: całą Krolewską, Zielną i Wielką do Chmielnej, Śliską i Pańską do Twardej, Próżną, część Twardej, Bagno, Komitetową. Trzeba było rano wstać o 5-ej, pojsć do redakcji na Senatorską, mieszkając na Łtotej w stronie Żelaznej, wrócić do domu o 11-ej lub 12-ej w południe (wyjaśnić muszę, że nie było to tylko chodzenie ulicami, lecz rozdanie 250 do 300 egzemplarzy po piętrach).

Po powrocie do domu nie czekał mej matki wypoczynek, lecz praca ugotowania obiadu, pranie, łatanie, sprzątanie i *niby mychorywanie dzieci*; to wszystko mogło biedactwo wykonywać do 4-ej po południu, gdyż o 4-ej szła do redakcji popołudniowego pisma, w którym znowu miała swój rewir, obejmujący kilka ulic. Raz na tydzień musiała dźwigać dodatki powieściowe. Cała ta praca wykonywana była aż za 13 rb. miesięcznie, z obu pism łącznie. Oczywiście, w tej pracy pomagałyśmy my, dzieci: dziewięcioletni brat gruzlik i ja, 7-letnia dziewczynka.

Piszę to wszystko nie w celu roztkliwienia p. M. S. nad ciężką dolą mego dzieciństwa, chcę tylko namacalnie przedstawić warunki, w jakich wychowują się dzieci, których nadmierna liczba w domu się znajduje. Jeśli dodam tu jeszcze, że wiecznie chory ojciec i ciężko spracowana matka, oboje z poszarpanymi nerwami, odbijali aż nadto często swoje niezadowolone na skórze dzieci, złoży się to na przedudowne dzieciństwo „sielskie, amielskie“.

Naturalnie, ten mój brat, który był zmuszony sprzedawać gazety, zmarnował się najzupełniej; może o tyle nie tragicznie, że młodo umarł na suchoty. Ja, dzięki ludziom dobrej woli, nie zginęłam w świecie, wyszłam zamąż, jestem żoną sędziego, mieszkając niedaleko sądu, często słyszałam dźwięk kajdan prowadzonych więźniów. Jakże wtedy gorąco dziękowałam Bogu, że zabrał mego brata do siebie, że to nie jego prowadzą z więzienia! Zaznaczyć muszę, że ja i moje rodzeństwo jeszcze nienajgorsze mieliśmy dzieciństwo; zawdzięczać to jednak należy tylko dziwnej zaradności mej zacnej matki i ofiarom, które dla nas ponosiła, a których nie jestem w stanie opisać. Czyż jednak wszystkie dzieci mają takie energiczne matki? Większość tych właśnie dzieci, które się rodzą drogą przypadku, zapelnia więzienia.

Przykładów jarzma, w jakim znajdowała się moja matka i my, dzieci, przytaczać więcej nie będę, gdyż życie samo je daje, a legjon im na imię; aby je ujrzyć, wystarczy tylko rozejrzeć się dokoła siebie.

Pytam pani M. S.: czy kobiety, znajdujące się w tych warunkach, mogą i czy powinny mieć dużo dzieci? I kiedyż mają one czas na wypoczynek dla siebie i spełnienie największego i najświętszego swego obowiązku, jakim jest wychowanie dzieci? Pamiętam również z mego dzieciństwa, że w tym właśnie okresie, kiedy ja miałam lat 8, brat mój najmłodszy 2, matka zaś ciężką pracą, o której wspomniałam, miało być jeszcze jedno małe. Matka wtedy uciekla się do pomocy akuszerki i wiem, że wtedy w domu rozpacz była ogromna, bo życie matki w wielkiem było niebezpieczeństwie.

A co wówczas stałoby się z *duszczykami siedmiorga dzieci, pozbarwionymi troskliwej opieki kochającej matki?*

Pisze Szanowna Autorka, że: „obowiązkiem lekarza jest bronić życia ludzkiego, a przykazanie „nie zabijaj“ obowiązuje nas wszystkich”. Tak, to prawda; lecz nie dość dać życie: trzeba jeszcze temu żyjącemu maleństwu stworzyć warunki, w których mogłoby się rozwijać normalnie, fizycznie i duchowo, a prawo do tego życia i normalnego rozwoju mają wszystkie dzieci jednakowo, zarówno te, co się rodzą w pałacach, jak i te, co przychodzą na świat w suterenach i na poddaszach.

Nie wiem, czy sprowadzanie dziecka na świat drogą przypadku, wiedząc zgóry, że skazane ono być musi na żer ulicy, gdyż rodzice, uginając się pod ciężarem walki o suchy i skąpy kawałek chleba (dobrze, jeśli starcza na chleb), nie mają sił i czasu na wychowywanie go, czy to także bronienie życia ludzkiego? Czy przypadkiem nie jest to rozmyślne narażanie dziecka na chorobę, kalectwa lub śmierć? Czy nie jest to zabijanie duszy i ciała dziecka? Przecież prosty chłop, hodujący konie i krowy na swem gospodarstwie, oblicza, czy jego gospodarstwo da utrzymanie tyłu a tyłu koniom i krowom? Czyżbyśmy świat dzieci mieli stawiać niżej od świata zwierząt?

Pisze Szanowna Pani o lęku niektórych matek przed śmiercią, którą może spowodować urodzenie dziecka. Ależ, proszę pani, najczęściej kobiety boją się przerwać ciężę, gdyż tu muszą decydować same, momentu zaś urodzenia nie są w stanie odwrócić; wolą raczej egoistycznie życie przekazać, choć niejednokrotnie rozsądek, logika i rachunek życia codziennego stawiają pytanie: czy zarobki nasze i siły starczą, aby dać utrzymanie jeszcze jednemu dziecku? wtedy odpowiada się na to: „a no, jakoś to będzie“!

Pisze p. M. S., że: „trzeba umieć spojrzeć śmierci w oczy odważnie i spokojnie, w głębokim przekonaniu, że nie jest ona największym nieszczęściem, jakie nas spotkać może“.

To wielka prawda i racja. Przyznam nawet, że może zbyt często śmierć jest wielkim dobrodziejstwem, a stokroć gorszym nieszczęściem są nędze życia; lecz właśnie tym nędzom trzeba umieć spojrzeć w oczy spokojnie i odważnie i powiedzieć sobie, że wielką zbrodnią jest dać życie lekkomyślnie, wiedząc o braku środków do stworzenia dziecku możliwie słonecznego dzieciństwa, oraz dania mu odpowiednich warunków, w których wyrosłoby na dzielnego członka społeczeństwa!

Jestem poprostu olśniona rzeczowem ujęciem przez p. Galicką, a z mózgu, serca i duszy wyjęła mi zdanie, że „tylko sama kobieta dać życie“.

Jedna z matek

W odpowiedzi wszystkim moim przeciwnikom.

Moje poglądy w sprawie stosunku do nieślubnych matek tyle wywołały sprzeciwów, że czuję się w obowiązku raz jeszcze odpowiedzieć moim Szanownym przeciwnikom.

Odpowiedź p. Zawiszanki ucieszyła mnie, ponieważ znalazłam w niej parę poglądów, na które godzę się z całą gotowością. I tak przede wszystkim godzi mi się obie, że ojciec jest współwinnym nieślubnego macierzyństwa i że na surową zasługuje karę, obie więc uznajemy w fakcie tym winę, z którym trzeba walczyć. Różnimy się tylko w poglądach na me-

tody leczenia tego zła i dlatego poniżej postaram się moje sprecyzować.

Trudniej mi będzie dysputować z temi Szanownymi przeciwniczkami, które w fakcie rodzenia dzieci po za związkiem małżeńskim nie widzą zła. Trudno, proszę pań, często dowieść tego, w co się wierzy, bo właśnie istotą wiary jest to, że uznaje się prawdy niedowiedzione. Ja jestem chrześcijanką nietylko z nazwy, wierzę w naukę Chrystusa i w słusność Jego postanowień. A ponieważ On ustanowił instytucję małżeństwa i jej powierzył dawanie ludzkości nowych pokoleń, zaś życie płciowe po za małżeństwem uznał za grzeszne i występne, do tych przykazań stosuję moje zapatrywania.

Przyznaję, że nie rozumiem tych pań, które z jednej strony macierzyństwa nieślubnego, a więc i stosunków płciowych po za małżeństwem nie uznają, jako winy i grzechu, a z drugiej nakazują ewangeliczną miłość bliźniego, cytując przytem słowa Chrystusa. Czy można w jednych sprawach słuszać religję i mądrość jej Twórcy, a w innych odrzucać jej nakazy, jako niewygodne i krępujące?

Uważam rodzenie dzieci nieślubnych (a tem samem utrzymywanie nieślubnych stosunków płciowych) za rzecz złą i grzeszną. Matkę nieślubną uważam za nieszczęśliwą grzesznicę, która ponosi sprawiedliwą karę za swą przewinę; mogę jej współczuć, pomóc, ale nie mogę uznawać jej za niewinną i godną szacunku.

Mniemam, że opieka nad nieślubną matką jest potrzebna i konieczna, ze względu na dziecko i jego przyszłość, powinno to być jednak tylko pracą chwilową, jak chwilowem jest leczenie przez doktora chorego organizmu. Zaś pracą stałą, na daleką metę zakrojoną, powinna być działalność równorzędna zadaniu higienisty, który chorobie zapobiega. Tak też powinniśmy dążyć wszelkimi sposobami do podniesienia moralności naszego społeczeństwa, do ograniczenia do minimum wypadków nieślubnego macierzyństwa, oczywiście przez wpływanie na ograniczenie stosunków pozamałżeńskich.

Tymczasem, gdy w niepowołane ręce dostanie się lektura o tem, że nieślubne macierzyństwo złem nie jest, skutek będzie łatwy do odgadnięcia. Wiele kobiet powstrzymuje od moralnego upadku strach przed grzechem i wstyd; gdy im te odejmiemy, nie będzie już hamulca. Porównajmy stosunki miasta i wsi. W sferach robotniczych i rzemieślniczych zdarzają się wypadki nieślubnego macierzyństwa, ale uważane są za hańbę i wstyd. To też nie słyszałam, aby matki nieślubne miały tam więcej, niż jedno dziecko, bo, raz zakosztowawszy tego wstydu, nie narażają się nań napewno powtórnie. I te rzeczywiście są temi pokutującymi grzesznicami, do których Chrystus powiedział: „wstań i nie grzesz więcej“.

Inaczej sprawa przedstawia się na wsi, gdzie dziewczyna z dziećmi łatwiej znajdzie męża, „bo ma przy sobie pomoc do roboty“; tam nikt jej nie uważa za zhańbioną, nikt nie potępia, to też zdarzało mi się nieraz spotkać na wsi dziewczyny z dwojgiem, trojgiem, a nawet czworgiem dzieci. Czy te również nazwiemy nieszczęśliwymi pokutnicami, okupującymi swój mimowolny upadek?

Oto, proszę pań, do czego prowadzi niepiętnowanie grzechu. Wszyscy mamy natury słabe i ułomne, to też zadaniem naszym jest wzajemnie się wspierać i chronić przed upadkiem, nie zaś tłumaczyć upadłemu bliźniemu, że właściwie nic złego nie zrobił, że jego przymusowa pokuta jest bezprawiem, a on sam nieskończenie godny szacunku za to, że pokutuje.

Marja Świeżyńska — Toruń

Nie tędy droga!

Panie, które zabierają głos w sprawie małżeńskiej, naprawdę robią na mnie wrażenie bardzo nieszczęśliwych w małżeńskim pożyciu, lub też zupełnie nie znających tego życia. Zawsze winien mężczyzna! Ale my, kobiety, wnিকnijmy w siebie, roztrząsajmy drobiazgowo swój stosunek do męża, a znajdziemy tam niejedną niedokładność.

Kobiety-altruistki! Ale jak to bardzo często mężowi nie ustąpią i nie rozumieją tego „tyrana”. Sądzę, że wina poważna jest po stronie matek, które pod względem wychowania swych córek, a przyszłych żon i również matek, nie stoją na wysokości tego zadania.

Przeciętną panienkę wydaje się zamaż, z troską przede wszystkim, by miała odpowiednie stanowisko, byt zapewniony i mogła „błyszczeć”. Strony intelektualnej nie bierze się pod uwagę, bo małżonkowie żyją się i będzie dobrze. A tymczasem? Rozgoryczenia, nieporozumienia i t. p. nieszczęścia. Jednym słowem, niedobre małżeństwo, które się rozchodzi, lub żyje razem ku wzajemnemu udręczeniu.

Kobieta, która mówi, że jest przez męża nierozumiana, tak samo i męża nie rozumie.

Dzisiejsza żona nie chce mieć dzieci, bo to... różne są „bo”.

Nie tędy, moje panie, droga do szczęścia małżeńskiego. Żona często nie zastanawia się nad tem, że robi mężowi pobyt w domu piekłem. Później narzekania, że mąż szuka przyjemności poza domem i t. p.

A czyby nie można, na podstawie wspólnej debaty, dojść do porozumienia?

Radziłabym paniom skrupulatnie przejść w pamięci swe życie, rozważyć pokolei wszelkie szczegóły, a dojdą do pewnych wyników i poznają swe błędy.

Gdy kobiety rozumieją, jakie zadanie mają do wypełnienia w stosunku do męża, wtedy unikną wielu rozgoryczeń i poznają drogę do dobrego współżycia.

Leonarda z Podola

Nasze żony (odpowiedź na art. „Szczęście w małżeństwie” — Jednej z wielu).

Jestem tylko mężczyzną, ale skoro wolno nam w Waszej „Mównicy” zabrać głos, pośpieszam.

O jakich żonach my marzymy? Nie wiem, czy są jakie ogólnomęskie wymagania. Marzenia zaś są raczej typowe w danym okresie życia. Zaczyna się od modlitewnego zachwycenia, podczas gdy starsi kolidują ten nasz obiekt pobożnych aspiracji przyprowadzając octem i pieprzem, jak salatkę. W dojrzałym wieku jeszcze tę przyszłą żonę wybieramy najpiękniejszą z pięknych, wybrankę. A potem, w zupełnie dojrzałym wieku, już nie wybieramy, tylko dobieramy, żeby pasowała. Czasem jednak, zupełnie tak, jak u Was, piękne Panie, zjawia się miłość i płacze te rachunki prawdopodobieństwa. Nie wielka szkoda, bo tam zawsze tyle jest niewiadomych, że grube błędy są prosto koniecznością.

Że kobiety, niekiedy bardzo wysokiej marki, tak, jak i mężczyźni wartościowi, mniej mają popytu na rynku małżeńskim, to, sądząc, prosto dlatego, że ogół ludzi nie jest, jakby to powiedzieć? na miarę Fidjasza, więc tłum dobiera sobie na miarę krawca.

Jakie zalety kobiet są u nas, mężczyzn, w największej cenie? (w znaczeniu: łatwość przejścia się cudzem „ja”) rozsądek, prawość, życiowa dzielność też; inteligencja (o ile bez zarozumiałości) i owszem, ale poza tem, powierzchowność przyjemna, typ ko-

biety „milej na wejrzenie” i odrobina swoistego wdzięku.

Dla mnie osobiście bardzo wielkim urokiem żony jest jej macierzyńskość i wogóle *kobiecość* i wyznam, że chociaż jestem młody (nie mam 30 lat), wyrosłem za czasów kobiety wyemancypowanej i bynajmniej wrogiem równouprawnienia nie jestem, jednak tendencja kobiety do ztratoty typowych cech swojej płci, do upodobnienia się mężczyźnie, deprecjonuje kobietę w moich oczach i jest mi antypatyczna.

A teraz jeszcze słówko o *szczęściu w małżeństwie*. Szczęścia, twierdzą pesymiści, wcale niema na świecie, tak, jak niema doskonałości; więc, jeżeli szczęścia niema i w małżeństwie, nie obwiniajmy siebie wzajem. Dążmy do szczęścia i do doskonałości ręką w rękę, jak ludzie dobrej woli, pocieszając się, że i poza małżeństwem nie takie znowu Eldorado! Pewnie, to i owo uwiera, mogłoby być inaczej, lepiej, moja żona też mogłaby, jeżeli już mam być szczerym... być, a raczej mieć... trochę lepszego męża. Wtedy byłoby nam w sam raz!

Henryk Holstorp — Łąck.

Co było lepsze?

W Grodnie, przy organizowaniu przyjęcia dla Pana Prezydenta, organizacyjne zebranie było tylko męskie, jak pisze p. K. I. („Mównica”, Nr. 22 „Bluszczu”), bo o kobietach zapomniano. Zapominają pono często. Mnie jednak w tej chwili o to idzie, coby kobiety wniosły, jaki kierunek nadałyby ich głosy obradom tego typu, gdyby o nich raczono nie zapominać?

Cytuję fakt, bliżej mi znany: W „komitecie przyjęcia” zaproponowano, by członkowie wypowiedzieli się, podając swoje pomysły, co do sposobu uczczenia przedstawiciela Rzeczypospolitej. Fundusz zebrano znaczny: 10 tysięcy złotych dało ziemiaństwo, 14 tysięcy miasto. Wtedy pewien młody człowiek (nie kobieta) wyraził myśl następującą: ponieważ miasto nasze jest miastem osobistych szkolnych wspomnień dla Pana Prezydenta, uczcijmy Go, fundując z pieniędzy, zebranych na przyjęcie, nie bramę triumfalną, tylko zwykły bukiet i... na tacy przy chlebie i soli akt ufundowania przy tutejszem gimnazjum, do którego Pan Prezydent uczęszczał, stypendjum dla jednego ucznia.

Projekt ten większość komitetu przyjęła... z oburzeniem. Nie godzi się! Carów przyjmowaliśmy z bramami, a naszego Prezydenta!... I nieładnie. Coby na taki wybryk powiedziała zagranica!? Chyba: że zbolszewiczeliśmy. A przytem: trzeba budzić podniosły nastrój w tłumie.

Moje kobiece „ja” nie przyjmuje tych „racyj stanu”. Odmienne przyjęcie Prezydenta naszej Ojczyzny, niż cara, wydaje mi się właśnie sympatyczne. Zagranica najwyżej, sądząc, powiedziała by, że jesteśmy rozsądni, szukając „tego, co nie przemija”. „Tłum” całym sercem przyklasnąłby projektowi dostarczenia jednemu ze swych członków możności kształcenia się na pożytecznego obywatela milej ojczyzny, a Pan Prezydent serdecznie przyjąłby tego rodzaju trwałą pamiątkę od miasta, które chciało Go uczcić.

Czy Panie, współcztelniczki „Bluszczu”, nie podzielały mojego zdania i zdania owego młodego projektodawcy?

Co do sprawy, poruszonej przez p. M. Bielińską w tymże numerze w „Mównicy”: „Poza dyskusją trzeba czynów”, sądząc, że dać „kąt i trochę jedzenia”, to względnie łatwe (wysłać małą, a pewnie nie odosobnioną ofiarę na ten cel do p. Bielińskiej), ale... co dalej, po urodzeniu dziecka?

M. B.

Czyśmy dorosły?

W swym głęboko ujętym artykule „Kobieta i polityka” p. J. Strzelecka rzuca zbawienne hasło:

„Najwyższy czas stanąć do pracy, najwyższy czas zacząć tworzyć postulaty „kobiecej” polityki. Kobieta musi wnieść w zatęchłe życie partyjne ideę interesu Państwa, zastąpić egoizm polityków idealizmem swej gorącej duszy...”

Zdawałoby się, że to takie jasne, proste i łatwe do spełnienia. Że tak łatwo stworzyć wielką, silną, karną i niezwyciężoną armję kobietą, że każda kobieta zrozumie łatwo, iż najwyższe jej dobro: szczęście jej dzieci w szczęśliwej ojczyźnie, zależy tylko od nas, kobiet, byle się tylko zorganizować i stanąć wszystkie pod jednym sztandarem.

Niestety, fakty stwierdzają, żeśmy jeszcze nie dorosły do zrozumienia tej prostej, łatwej do spełnienia rzeczy.

Prawie równocześnie z powstaniem państwa polskiego zawiązała się Narodowa Organizacja Kobiet, jako stowarzyszenie ponadpartyjne. Dziesięć lat minęło, czy zjednoczyła wszystkie kobiety? Nie.

Pod tem samym hasłem powstał „Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet”, przeciwstawiając się jednak kierunkowi polityki Narodowej Organizacji Kobiet. Czy sam ten fakt powstania dwóch odrębnych organizacji nie przeczy zasadzie, w której imię powstały? Teraz, na skutek artykułu pani Strzeleckiej, powstają projekty, rzucane w „Naszej Mównicy”, aby tworzyć „komitety polek-obywatelek”, łączące instytucje kobiece we wspólnej pracy i zrozumieniu jednolitej akcji kobiecej dla dobra Polski.

Niestety, do zrozumienia wspólnej akcji nie dorosłyśmy jeszcze. Trzeba sobie to otwarcie powiedzieć. W swoim kółeczku, w swoim stowarzyszeniu, związku, czy organizacji potrafimy jeszcze jako tako pracować... ale razem, broń Boże! „Całość sama się stworzy”, tak rozumują najdzielniejsze przodownice, a te, które próbują łączyć, nawoływać, wspólnie poczynąć jakąś szerszą akcję, muszą zamilknąć, zniechęcone, bo „głową muru nie przebijesz”.

Chcecie faktów? służę. Urządza w Krakowie, na przykład, „Narodowa Organizacja Kobiet” łącznie z 8-ma stowarzyszeniami kobiecymi (jednak jest aż osiem, ale przeważnie w nich jedne i te same pracują osoby) zebranie obywatelskie w sprawie narodowego i religijnego wychowania młodzieży z bardzo poważnymi referatami. Wśród tych ośmiu stowarzyszeń kobiecych nie znajdujemy tego, które tam być powinno koniecznie, Katolickiego Związku Polek, bo choć tu chodzi wprawdzie o rzecz zasadniczą dla idei Katolickiego Związku Polek, o religijne i narodowe wychowanie młodzieży, ale to zahacza o politykę, a więc, trzymajmy się zdala od wszelkiej polityki...

Więc, czy dorosłyśmy do zrozumienia tej wielkiej prawdy, w której imię pani Strzelecka chce zjednoczyć wszystkie kobiety, że polityka kobieca może i musi być bezpartyjna, że może i musi łączyć, a nie dzielić wszystkie głęboko czujące polki, że może i musi zwyciężyć?

M. Mossoczowa — Kraków.

O pracę w kraju.

Przez długie dziesiątki lat (zbliża się trzydziestka) z małą przerwą tylko pismo „Bluszc” było mi przyjacielem nieodstępnym. Od najmłodszych lat, z artykułów, przez Matkę moją mi podsuwanych, potem samodzielnie już czerpałam z niego obficie, zależnie od potrzeb ducha, potwierdzenie, podniecie, lub otwarcie nieraz zupełnie nowych horyzontów myśli. Czasem jakieś załamane duszy i oto słowa jędrnej, głębokiej wskazówki śle mi ktoś mądry za pośrednictwem „Bluszc”; kiedyindziej, znów, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, „Bluszc” dośpiewuje, tylko barwniej, dalszy ciąg moich myśli. I oto dlatego,

w tej chwili przesyłam to, co zapewne wiele, a może i bardzo wiele Czytelniczek wspólnie ze mną czuje, dużo słów wdzięczności za tak mądrego towarzysza życia, jakim jest „Bluszc”.

Genezę powstania „Mównicy”, przyznam się, przeoczyłam. Trafila na moment w mem życiu, gdy nie miałam czasu czytywać. Powstanie jej jest nieskończone doniosłe, i twierdząc, że w przyszłości roztoczy dalekie kręgi działania, zjednoczy czytelniczki w jedną rodzinę duchową, nauczy rozważać niejedną głębię naszego życia, wytworzy tak bardzo potrzebną spójnię wśród kobiet, pozwalając nam wypowiedzieć się w ważnych sprawach. Wyczuwam, że „Mównica” jest zaczątkiem organizacyjnych poczynąń ducha kobiecego, poczynąń, których potrzeba doba powojenna stawia nam przed oczami i przed którymi stoimy bezradnie jeszcze w wielu dziedzinach.

A teraz pozwałam sobie na trochę spraw osobistych. Jestem rozbitkiem życiowym, na skutek klęski bolszewickiej. Rok 1920 kazał nam ostatecznie rzucić kawał ziemi na Wołyniu i osiedlić się w Kongresówce z czworgiem dzieci w wieku szkolnym, trzeba było z gorącego poczucia obowiązku względem dzieci stanąć do walki z życiem. Dziś, po dziesięciu latach, mam wszystkie dzieci w wyższych uczelniach, siebie przykuła do stołu biurowego i nauczycielskiego i trapią myślą, którą pragnę przedłożyć łaskawym Czytelniczkom „Bluszc”. Jedną z mych córek kończy teraz w czerwcu Kursa Kilimkarstwa w Towarzystwie Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie. Dotychczas nie ma propozycji objęcia pracy w tym kierunku w kraju. Myślę, że w obecnym dążeniu do rozwoju przemysłu w kraju, przy rozbudowie naszego państwa, może się znaleźć u nas praca dla zdolnej, wykwalifikowanej pracowniczki w tej dziedzinie. Proponuję jej wyjazd do Francji. Jest to przeciwne wszelkim moim zasadom, pragnę, by moje dzieci w kraju i dla kraju pracowały. O ile córka moja nie znajdzie odpowiedniej placówki pracy, będzie zmuszona wyjechać zagranicę, ze względów czysto materialnych. Ale wydaje mi się to za bardzo przykre.

I oto przyszła mi zuchwała myśl powierzyć swą troskę „Mównicy”.

W. G.

Mówmy, czego nam potrzeba.

Ponieważ na dobre jest ankieta gospodarza i uzdrowienie naszego bilansu handlowego, podaję projekt, aby każda z czytelniczek wymieniła nazwy wyrobów krajowych, które kupuje i wypowiedziała o tem swoje zdanie, czy rzecz ta jest równa zagranicznej, czy też lepsza, lub gorsza.

Z krytyki tej fabrykanci się dowiedzą, jak mają ulepszyć swój towar, aby publiczność zupełnie zadowolili.

Lato obecne mamy perkalikowo-bawełniane i wierzymy wszystkie, że wpłynie ono dobrze na bilans, pieniądź pozostanie w kraju, a nasz robotnik będzie miał pracę.

A teraz robię moje uwagi: dlaczego sztuczny jedwab na początku sezonu kosztował najdrożej zł. 3,60 za mtr., a dziś kosztuje zł. 3,90? Czy to dlatego, że stał się modny, czy też robocizna podróżowała. Nosi i pierze się dobrze; ma wadę, że się gniece i sukienka musi być codziennie prasowana. Na to fabrykanci muszą zwrócić uwagę.

Przed paru tygodniami jedna z pań zapytywała, czy jest polskie „Maggi”. Otóż, będąc na Targach Poznańskich natrafiłam na stoisko polskich buljonów, kupiłam na próbę i stwierdziłam, że są świetne. Można mieć sosy w butelkach, półpłynne w słoikach i kostki rozmaitych wielkości. Buljony te odznaczono srebrnym medalem na P. W. K.; wyrabiane są na Polesiu.

Każda z nas powinna więc ten wyrób krajowy popierać.

Stała Czytelniczka, Grzymałowa

Od redakcji.

P. Autorkę głosu „W sprawie artykułu 141—142”, podpisana: Stała Prenumeratorka „Bluszc”, prosimy o podanie do wiadomości redakcji nazwiska i adresu. Jednocześnie przypominamy wszystkim Sz. Paniom, że w „Mównicy” umieszczamy tylko te artykuły, których autorki zakomunikują nam swe nazwisko i adres. Szczegóły te mogą być, na życzenie Pań, nie umieszczane w druku, nam jednak muszą być znane.